

Tragikomedya prawdy



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Tragikomedya prawdy

I. ON I ONA

Prawda jest niemoralnością naszych czasów.

L. Feuerbach.

I

— Łudzisz się pani. Z pewnością nie było dotąd człowieka, któryby prawdy swych przekonań nigdy kłamstwem lub milczeniem nie osłaniał i zawsze ją odkrywał. Więcej powiem: nie było matki, któraby się odważyła takiego człowieka urodzić.

— Ja odważyłabym się pierwsza.

— Tak, jak jabym majątek Rotschilda rozdał biednym. Łatwo pani poświęcać to, czego nie masz i co ci do serca nie przyrosło — dziecko. Podobnym zapewnieniom wierzyć można tylko wtedy, kiedy one są poświęceniem na cudzy rachunek.

— Dziwaczna przesada!

— Bynajmniej, jeżeli tylko nie byłoby pani obojętnem, czy twoje dziecko udusi się w dymach chwały, czy w postronku szubienicy. Zresztą łatwo to sprawdzić przykładem. Wystawmy sobie, że pani masz małego synka, który jednego z gości pyta, jak ten przeczepia sobie perukę, drugiemu pokazuje rozpiętą kamizelkę, trzeciemu opowiada, jak mama z cicią ośmieszały jego niezgrabność — co pani zrobisz, usłyszawszy te szczerze wyznania? Krzykniesz na malca, wyprowadzisz go z pokoju i pod surową karą zabronisz mu podobnych gadanin. Przypuśćmy dalej, że on zostanie przemysłowcem, kupcem, literatem, urzędnikiem, wodzem, ministrem, że do równych sobie, niższych i wyższych, zacznie mówić prawdę — co z nim się stanie? Jako kupiec — odstraszy sobie klientów, jako urzędnik — straci posadę, albo nawet coś więcej. Zginie on wprzód, nim mu się ustali barwa włosów. Zapewniam panią, że będąc agentem towarzystwa asekuracyjnego, nie ubezpieczyłbym jego życia. Taki człowiek — to wilk, którego wolno każdemu, na każdym gruncie, o każdej porze zabić i jeszcze zażądać nagrody.

— Zapewne, gdyby wszystkich obrażał!...

— Co to znaczy obrażał? Jemu ust nie otwierałaby złość, ale szczerść. A gdyby nawet często się pomylił, to czyż jego wina, że miał błędne przekonanie? Ale on utraciłby cześć, mienie, swobodę, życie, za słowa niewątpliwie słuszne. Pani nie uprzytomniasz sobie dostatecznie, jak dalece do utrzymania budowy społecznej potrzebnem jest kłamstwo. Tkwi ono tak głęboko w naturze ludzkiej, że nawet Mojżesz nie śmiał go zabronić w swych przykazaniach. Przykazanie zaś doby obecnej wyraził doskonale Feuerbach, którego słów nigdy nie zapomnę: „Kto teraz prawdę mówi, ten jest zuchwałym i nieobyczajnym; kto jest nieobyczajnym, jest niemoralnym. Prawda jest niemoralnością naszych czasów”. „Gdybym miał pełną rękę prawd — rzekł Fontenelle — bałbym się jej otworzyć”. Tak pani, to nie paradoks.

— Gdyby wszakże pewnego dnia wszyscy ludzie zaczęli mówić do siebie szczerze...

— Wiesz pani, co by z tego wynikło? Rewolucja — i to powszechna. Powstałaby gwałtowna walka wśród rodzin, przyjaciół, znajomych, podwładnych i zwierzchników. Jeśli do tego kiedykolwiek przyjdzie, radzę pani wyjechać i zdała przeczekać burzę.

— Masz pan więcej humoru, niż racji.

— Bynajmniej. Wierz mi pani, że nie wytrzymałabys przez jedną godzinę słuchania prawdy — o sobie.

— Mów pan, co myślisz, proszę.

— Pani daj przykład, wszakże jesteś ode mnie odważniejszą.

— Dobrze — tylko proszę o pobłażliwość.

— Na to się zdobędę.

2

— Kiedy pana zobaczyłam po raz pierwszy, zrobiłeś na mnie wrażenie drzazgi, którą trzeba włożyć w ogień, ażeby się przekonać, że ona ma w sobie żywicę i pali się gwałtownie. Gdyby nie objaśnienia znajomych, dziwiłabym się pańskiej żonie, że wybrała sobie taki suchy preparat życiowy. Zwykle do naszego serca każdemu pierwsze drzwi otwiera wzrok. Jeżeli nasze oczy go powstrzymają, musi on chyba te drzwi siłą wyłamać. Pan mi się wydałeś bardzo brzydkim. Kobieta jest niezawodnie mniej zmyslową, niż mężczyzna, ale bardziej od niego wrażliwą. To też nietylko prostej owieczce, ale nawet rozumnej emancypantce podoba się w pierwszej chwili tęgi i piękny baran. Trwa to bardzo krótko, ale objawia się silnie. Pan jesteś za chudy, za żółty, za rzadkie masz włosy i za czerwone ręce, ażebyś mógł podobać się kobiecie z wejrzenia.

— Ponieważ doświadczamy skutków prawdomówności, więc muszę wyznać, że jakkolwiek nie miałem nigdy złudzeń co do swojej urody, słowa pani kłują mnie dotkliwie.

— Wstydz się pan.

— Proszę dalej.

— Wskazując na mnie, powiedziałeś pan do jednego ze swych przyjaciół tak nieostrożnie, że aż ktoś usłyszał: „Gdyby ją puszczono na loteryę, wziąłbym bilet i pragnął wygrać”. Kobieta, jak wiewiórka: gryzie najtwardszy orzech pochlebstwa, wyluskuje sobie przyjemne ziarno, a łupinę odrzuca. Chociaż więc uwaga pańska była brutalną, dowiedziałam się o niej z zadowoleniem i pragnęłam pana poznać. Po kolacyi usiadłeś przy mnie — mając na brodzie kawałek marchwi. Śmieje się pan i ja śmiać się będę, ale ta reszta jedzenia usposobiła mnie znowu złośliwie. Wszystko, coś pan mówił, wydawało mi się cudacznem, a gdyś odszedł, spytałam gospodyni domu, stojącej obok: „Czy on nie miał serwety?” — „Ale miał — rzekła przestraszona — tylko troszkę filozof”. Filozof z marchwią — wszak to zabawne!

— Istotnie.

— Nie podoba się panu to wspomnienie, ale przecie mam być szczerą. Nawiasowo zauważę, że skutkiem łamania się na pańskiej twarzy niezadowolenia z udaną wesołością wyglądasz pan teraz załośnie. W kilka tygodni później spotkaliśmy się na wsi u mojej siostry. Nie wiem, czy pan pamiętasz naszą przechadzkę w liczmem towarzystwie do lasu, gdzie zroiły się pszczoły. Skutkiem sporu o niebezpieczeństwo drażnienia ich, pan, ażeby nas przekonać, wstrząsnął drzewkiem, na którym siedziały. Część roju obsypała pana. Widząc pańskie skoki i chwyty się za ukąszone miejsca wśród rozpaczliwego krzyku, spłakałam się bardziej ze śmiechu, niż kiedykolwiek ze smutku. Opuchnięty pobiegłeś pan do dworu; na polu jednak pies owczarski, spostrzegłszy uciekającego, puścił się w pogoń. I znowu rozpocząłeś pan komiczną walkę, po której pies wrócił do owczarza z płatem czarnego sukna w zębach, a pan poszedłeś dalej, błyszcząc białym śladem poniesionej na ubraniu krzywdy. Ach, jakże strasznie chichotałam! Gdyby panu wówczas wystawiono pomniki w pięciu częściach świata, jabym nie przestała śmiać się, chociaż wieczorem wraz z innymi udawałam współczucie.

— Więc z całej naszej znajomości zauważyłaś pani tylko: kawałek marchwi na mojej brodzie, zabawną walkę z psem i pszczołami?

— Bynajmniej, ale opowiedziałam panu moje wrażenia, które przyzwoitość taić każe. Owszem, wyznaję, że doznawałam innych. Po długim niewidzeniu, spotkałam pana raz na koncercie, siedzącego przed nami, obok jakiejś pięknej kobiety. Mówiłeś pan z nią dużo i znacząco. Dosłyszałam kilka zdań, które mnie zastanowiły. „Nauczyłbym się po hiszpańsku — rzekłeś pan — gdybym był pewnym, że w tym języku przeczytam jakiś cudowny, na inne języki dotąd nieprzełożony, poemat. Podobnie nauczyłbym się miłości, gdybym wiedział, że za jej pośrednictwem poznam jakiś piękny, na inne uczucia nieprzełożony utwór”... „Pewne wdzięki uczucia — zauważyła ona — tak jak pewne wdzięki

poezyi poznać można tylko w oryginałach”. „Więc dobrze — odparłeś pan — czy dla jednej książki warto się uczyć języka, a dla jednej kobiety — miłości?” „Warto” — odpowiedziała. „Zgoda — zawołałeś pan — ale tylko co do książek, bo one przynajmniej nie wybierają swoich wielbicieli, ale jednak należą do wszystkich. Tymczasem kobiety... Gdybym naprzykład pokochał panią, na cóżby mi się to zdało? Szaleństw i daremnych westchnień nie łaknę, a wzajemności spodziewaćbym się nie mógł, gdyż ofiarowałaś pani swoje serce pewnie innemu”. — „Żegnaj pana — rzekła z uśmiechem, wstając i podając rękę towarzyszącemu jej staruszkowi — bo zaczynasz rozbierać treść książki, której nie przeczytałeś i której znasz zaledwie okładki”. Odeszła. — „Kto to”? — spytałam pana, gdyś się do nas zbliżył. — „Już rozwódka — szepnąłeś pan — a jeszcze nie narzeczona”. — „Ale zawsze niebezpieczna — wtrąciłam — nawet dla żonaty”. — „Moja żona — powiedziałeś pan — kocha tylko wszystkich świętych w niebie, a księży na ziemi, w każdym razie ja do koła jej miłości nie należę i jego granicę szanuję”. Nieopatrzna ta uwaga przekonała mnie, jak dalece przy pięknej znajomej zapomniałeś pan nawet o koniecznej wstrzeźliwości. A oczy pańskie rzuciły odblask wewnętrzznego ognia, czoło fałdowało się zmarszczkami namysłu, a na ustach drgał czasami cierpki uśmiech. Uczułam zazdrość.

— O kogo?

— Zwolna...

— Nie omijaj pani pytania.

— Nie ominę. Zwolna udało mi się pana uspokoić i zająć. — „Kto rozmawiając z ładną i rozumną kobietą słucha muzyki — rzekłeś pan wesoło — ten ubliża sztuce i robi tak, jak gdyby na posągu Michała Anioła w swym salonie osadził lampę”. — „Czy pan — spytałam — wolisz zawsze ubliżyć kobiecie w oczy, niż sztuce za oczy”? „Nie zawsze — odparłeś”. „Więc niechże się przynajmniej dowiem — zagadnęłam podrażniona — czy jestem według pana nieładną i nierozumną kobietą, czy też — lampą”. — „Żony moich przyjaciół — odpowiedziałeś pan żartobliwie — stanowią osobną kategorię istot bez odstręczających wad i bez przyciągających zalet. Lubię je z obowiązku nawet wtedy, gdy nie lubię ich z przekonania. Albo... odwrotnie”. Szczęście, że mąż mój zajęty był symfonią i wytupywał sobie jej takt, bo byłby spostrzegł niezwykle we mnie wzburzenie. Mężczyźni inteligentni i przyjemni, o ile bywają czasem śmieszni, gdy ruszają się i milczą, o tyle są niebezpieczni, gdy siedzą i mówią. Pan zaś mówiłeś wtedy bądź namiętnie, bądź szyderczo, a zawsze tak odurzająco, że zwolna doznałam zawrotu głowy. Zdarzają się mężczyźni, do takich właśnie pan należysz, którzy nas ustawicznie, nieraz bez celu, hipnotyzują. Z ich słów dobywa się jakaś ponętna, ale ostra i upajająca woń, której kobieta oprzeć się nie może. Nie gruchałeś pan do mnie miłośnie, a jednak, gdybyś, odprowadzając nas do domu, zażądał był ode mnie... zapomnienia o mężu, nie wiem, czy zdołałabym się na siłę powiedzenia panu, że kłamiesz, nazywając się jego przyjacielem.

— Cóż panią uleczyło?

— Całą noc prawie spędziłam na rozmyślaniu i doszłam do wniosku, że gdyby społeczeństwo знаło swych członków i ich wzajemne na siebie wpływy, powinnyby usunąć jednostki panu podobne. Bo lepszy lis, niż piźmowiec, rozstrajający nerwy. Wierzyłam, że pan narkotyzujesz kobiety, nie kochając ich, nie pożądam, lecz po prostu bawisz się, napawasz ich obłądem, jak szatan ludzkim grzechem. Mimo to pragnęłam pana co prędzej zobaczyć. I zobaczyłam — znowu z piękną nieznajomą. Dostrzegłszy mnie, pożegnałeś pan ją. Byłam z tego bardzo uradowaną, a jeszcze bardziej, gdyś pan rzekł: „Pytałaś mnie pani przed kilku dniami o tę śliczną istotę: jest to encyklopedia dowcipów z powieści francuskich. Rozstawszy się z nią na koncercie, poszedłem do państwa. Otóż ona dziś przypomniała mi to z uwagą, że mężczyzna, który za odchodzącą od niego kobietą nie ogląda się lub nie postępuje kilku kroków, dowodzi, że ma dla niej tylko grzeczność. Filozofia czysto paryska”.

— Ale jak pani pamiętasz doskonale moje słowa.

— Bo zazdrościłam jej... pana.

— Mnie? Dziękuję.

— Po raz pierwszy pocałowałeś pan moją rękę. Pocałunki są to ogólne znaki algebraiczne, w które trzeba podstawić określone wartości, ażeby one coś wyraziły. Co pan...

— Czego pani pragniesz?

— Czego ja pragnę... patrząc w pańską kuszącą twarz, w rozplomienione oczy, czując przy tem rozkoszne omdlenie w całym ciele...

— Tak.

— Nie, nie powiem prawdy: wolę uleść pańskiej regule, niż... Przebrałam. Mąż zadzwonił. Jak to dobrze, że już wraca.

3

— Nie mąż, tylko... gazeta.

— Szkoda.

— Co pani właściwie grozi?

— Wstyd.

— Czego? Żeś pani nie mogła domówić całej prawdy?

— Żem powiedziała za wiele.

— Uspokoję panią, bo powiem więcej.

— Na litość — nie.

— Proszę mi nie odbierać głosu, gdyż w takim razie nasza rozmowa byłaby jedynie zwykłym romansem, nie zaś pouczającym doświadczeniem.

— Brak mi odwagi.

— Teraz ona tylko mnie potrzebna. Zresztą nie lękaj się pani: będzie to niewinna sobótką pogańska, w której nie rzucimy się w ogień, lecz przeskoczmy go. Pomogę.

— Pomożesz pan?

— Panią to zdumiewa? Sądziłaś, że padnę na kolana i wyznam moją miłość, a uniewinnię swoją? Bynajmniej. Pani nie jesteś dla mnie ani boginią, ani grzesznicą, lecz wychowaną w kłamstwie a ośmieszoną w powodzeniach kobietą, która sądziła, że wypowie bez omyłki cały alfabet prawdy a zająknęła się przy pierwszych jego głoskach. Półśłówka pani wystarczyłyby dla uwodziciela, ażeby cię mniej lub więcej zbałamucił, ale nie dla mnie, ażeby cię podziwił. Jeżeli zaś moje oczy zdradzają namiętność, to naprzód ja jej rozkazywać umiem, a powtóre może ona być tylko powodem tryumfu dla kobiety, nie zaś — obawy dla żony przyjaciela. Chociaż, jak pani utrzymujesz — usta moje tchną piżmem rozdrażniającem, nie używałem nigdy względem was podstępów, a nie lubiłem niewinności.

— Szczególny gust...

— Bardzo uzasadniony. Większość kobiet poświęca się, błądzi, łamie wiarę małżeńską naiwnie, nieświadomie. Dzięki im, każdy zakazany owoc jest mdły lub gorzki. Zwykle romans przebiega tak: mężczyzna naciera, kobieta się poddaje, ale po każdym jego ataku wpada w smutek, a po ostatecznym zwycięstwie — w rozpacz. Wyzywa na pojedynek śmiało, ale gdy ją przeciwnik ugodzi, ona ujrawszy w ciele ranę, rozplakuje się i woła: „nie sądziłam, że pistolet będzie nabity kulą”. Proszę pani, czy warto strzelać się z dzieckiem, które przypuszcza, że w wymierzonej do niego lufie tkwi gałka z chleba? Podobnie, czy warto rozkochiwać kobietę, która mniema, że miłość zaczyna się westchnieniem przy świadkach, a kończy westchnieniem bez świadków? Na wszystkich polach naszego życia dusi przepiórki gromada jastrzębi, które tem chętniej rzucają się na zdobycz, im ona mniej jest świadomą niebezpieczeństwa. Są to tolerowani złodzieje kobiecej niewinności, okradający z niej pensyonarki, usamowolnione panny lub żony starych mężów. Ich ofiary giną przez prostą nieświadomość tego, że pocałunek jest żądaniem a nie zaspokojeniem żądania, że mężczyzna rzadko bywa kiperem, kosztującym tylko wina rozmaitych prób, a najczęściej pijakiem, który rozkoszne czary do dna wychyla.

— Jaki to ma związek ze mną?

— Bezpośredni. Serce pani mógłbym łatwo ukraść — nie chcę. Jeżeli widzę, że kobieta, pod wpływem gorętszych słów, mimowoli mięknie, ulega i gotowa do ofiary, po której na twarzy czuć będzie rumieniec, a w sumieniu zgryzoty, opuszczam ją. Jest to małoletni, który potrzebując stu rubli, wystawia lichwiarzowi rewers na tysiąc. Istoty, które zdradzają swych mężów w wagonie lub na statku, a potem żałując za grzechy, są najwinniejszymi żonami, mogą być ponętą dla — kpów. Ja pokochałbym i poprowadził w miłości jak najdalej taką kobietę, któraby jasno wiedziała dokąd idzie i na przebyty drogę nie oglądała się z żalem. A właśnie pani do takich nie należysz.

— Natura już mnie dawno stworzyła a pan chcesz stworzyć inaczej po raz drugi.

— Pani za mało przypatrywałaś się sobie bez lustra, a kiedy ciebie zajmował kawałek marchwi na mojej brodzie, ja natomiast śledziłem twoje słowa, uśmiechy i przemiany. Na tej samej wycieczce, która mnie naraziła, pani pozwoliła się okadzać swemu kuzynowi. Młodzieniec ten tak kłamał, jak dworak. Mówił np., że przypominasz mu pani Żmiechowską, chociaż w usposobieniu twojem jest tyle poezji, ile w napisanym do albumu siostry wierszyku, który wywołał to porównanie. Byłaś mu pani wdzięczną, gdyż wycalowałaś... męża, który podczas tej chwalby nadszedł. Wtedy przekonałem się, jaką masę ocukrzonych i pachnących bredni rozumna kobieta zjeść może i jak tanio je nabywać pragnie. Zdawałoby się, że po przyjęciu wszystkich pochlebstw i umizgów owego młodziana wypłacenie mu łask uczynisz pani zależnem tylko od dogodnej sposobności. Tymczasem, kiedy on prosił wieczorem na ganku, ażebyś pani pozostała z nim dłużej, odpowiedziałaś mu: od czasu jak przysięgłam mężowi wierność przed księdzem, nie myślę nikomu ślubować miłości przed księżycem.

— Pan to słyszałeś?

— Z balkonu. Zawiedziony kuzynek wrócił do pokoju, w którym razem mieliśmy nocować, i rzekł w zachwycie: „Boska kobieta!” — „Przeciwnie, ludzka — odrzekłem — bo miłosne sieci robi nie z mocno wiązanych oczek, ale z szydełkowych zadziernień, które każdej chwili za pociągnięciem nitki rozpruć można.” Zamyślił się, ale pewnie zapomniał o tej uwadze, bo dowód nie utkwi w miękkim mózgu, jak gwóźdź w najtwardszej wodzie.

— Cóż ja według pana miałam robić?

— Powiedzieć mu wprost albo: chcesz pan mnie podnieść do nieba, ażeby, upadłszy z wysoka, straciła równowagę na ziemi? Jest to dosyć dla pańskiej naiwności, ale za mało dla mojej rozwagi. Albo: kocham cię bez złudzeń i bez wstydu.

— Kiedyż ja go nie kochałam!

— Ani jego, ani artysty, przy którego skrzypcach omdlewałaś pani z upojenia, ani po nim literata, który pod twoje stopy podścielał wzorzyste kobierce tkane z wyrażeń Słowackiego i Musseta, ani innych wielbicieli, ani mnie. Wszyscy wprawiali panią w miły półsen, co to rozmarzonej wyobraźni na wszystko pozwala i za nic nie karze. Świat żąda od kobiety rachunku tylko z ciała, duszę pozostawia wolną: na pierwszej uwłaszcza męża, na drugiej zapewnia służebności znajomym. Nieraz serce wasze to wspólny pastewnik, na którym i myśliwy coś upoluje i wół trawy uskubie.

— Moje także?

— Zbladłaś pani z oburzenia na samą myśl, że tak sędzę. Nie, tego nie utrzymuję, chociaż cieszy mnie chmura na twarzy kobiety, niedawno przekonanej, że przed najsilniejszym promieniem światła nie zmruryłaby oczu. Wiesz pani, dlaczego śmiało wyzywałaś z moich ust prawdę o sobie? Bo spodziewałaś się, że ofiaruję bojaźliwie uwity bukiet pochlebstw, za co otrzymam czarujący uśmiech. Szłaś pani dotąd szpalerem wielbicieli, którzy wydawali zgodne odgłosy podziwu, i gniewasz się, że ostatni w tym szeregu rozdarł ci kolecami tryumfalną szatę. Przewidywałem ten wypadek. Dopóki kobieta nosi jeden przyprawiony warkocz na głowie, dopóki fałszuje zarówno swoje myśli mową, jak kształty swego ciała ubraniem, nie może lubić, nawet znosić prawdy. Niezbyt zaś chyba do tego zdolna jest młoda i piękna żona starego i niedołęznego człowieka, która pewnie mniej ocalenie zawdzięcza sile swej cnoty, niż słabości dokonanych na nią zamachów.

— Dosyć, panie, to już zniewaga.

— Więc pani przypuszczasz, że przed chwilą powstrzymała cię od niebezpiecznego rzutu twoja, nie moja wytrwałość? Po cóż pragnęłaś nadejścia męża? Ja okazałem bardzo dużo mocy, bo oparłem się nietylko pokusie pani, ale nadto własnemu, bardzo gwałtownemu pragnieniu.

— Temperatura pańskich pragnień wielkiego studzenia nie potrzebuje.

— Mylisz się pani. Gdy na ciebie patrzę, po nerwach moich przebiega nieustanny dreszcz.

— Odrazy?

— Namiętności.

— Pomimo to, coś pan przeciwko mnie powiedział?

— Alboż pani moje śmieszne pląsy w potyczce z psem i pszczołami przeszkadzały pochylić się ku mnie? Zresztą nie twierdziłem wcale, ażebyś nie była zdolną do odurzenia zmysłów...

— Na to są specjalistki, z którymi ja moralnie nie mam nic wspólnego, prócz pańskiej opinii.

— Rozumiem ten, jak wszystkie poprzednie wybuchy, bo kto prawdę mówi, przeciąga przez uszy słuchaczy oset. Nie unosi się pani, ja tak ubliżającego porównania nie robię, lecz sądzę, że mężczyzna kocha kobietę tylko zmysłami.

— Każdy i każdą?

— Bez wyjątku. Nie przeczę, że może on cenić jej rozum, szlachetność i inne przymioty, ale będzie to cześć człowieka, a nie miłość mężczyzny dla kobiety. Bo czy pani wyobrażasz sobie to uczucie w mężu, przekonanym, że jego mądra i zacna żona jest potwornie brzydka? Byłoby to równie niemożliwym, jak zachwycanie się szpetną rudera dlatego, że ona w sobie mieści bogatą bibliotekę lub galerię obrazów.

— Czemuż jednak kobiety wykształcone i uczciwe bardziej są kochane?

— Dla nader prostej przyczyny, że najświetniej zbudowany gmach więcej wart z biblioteką lub galerią, niż bez nich. Wartość architektoniczna, o którą kobiecie przedewszystkiem chodzi, pozostaje od tych przydatków niezależną.

— I we mnie ona panu się podoba?

— Tak. Nikt z brzoskwini nie wydziela i nie chwali osobno rozpuszczonego w niej cukru lub woni, lecz rozkoszuje się nią całą. Również i z natury pani nie wyróżniam żadnego, nawet najeteryczniejszego pierwiastku, lecz podziwiam wszystkie razem — zmysłami.

— Ach, ciągle tylko zmysłami...

— Po co mam się tego zapierać? Przecież nie wyprosiłem sobie u natury odrębnych popędów; mam takie, jakie mi dała, jakie dała wogóle mężczyznom. Wzorem wielu mógłbym powiedzieć, że pani przejmujesz mnie szacunkiem dla twego rozumu, taktu, dowcipu i tak dalej, ale to byłoby kłamstwem. Czy pani pamiętasz, kiedy odkryto Amerykę, czy wspierasz biednych i znasz Milтона, nie wiem, ale wiem, że twoje oczy patrzają, nos rozdyma się niepokojem, usta wabią, cała postać wyraża wdzięk, a obiecuje rozkosz. Trzeba nie posiadać wrażliwych nerwów, ażeby...

— Dlaczegoż mnie pan nie kochasz, bodaj po swojemu?

— Kocham — po swojemu.

— I nie żądasz pan ode mnie żadnej ofiary?

— Żadnej, bo każdą spełniłabyś pani nieświadomie i oplotała boleśnie.

— Nie chcę o tem więcej słyszeć, że mnie pan uważasz za dziecko.

— No, a jakżebyś pani poradziła sobie z obowiązkiem żony?

— Obowiązki żony? Kiedy ja... męża mego nie kocham.

— Ach, proszę pani: obojętność dla męża bywa zwykle w żonie skutkiem, a nie przyczyną wiarołomstwa. Niejedna, wychodząc na zabawę, oburzyłaby się, gdyby ją posądzono, że go nie kocha, a powracając wyznaje przyjaciółce, że go nigdy nie kochała. Przemianę taką może sprowadzić jeden walc lub mazur, przetańczony z miłym chłopcem.

— Czemu pan nie idziesz konsekwentnie do kresu i ze swej gramatyki niewieściego serca nie usuniesz wyjątków? Po co mówić: „niejedna” — „zwykle” — „często” — kiedy przez wstawienie wyrazów: „każda” — „zawsze” — reguła stałaby się okrągłą a byłaby równie niedorzeczną.

— Wtedy byłaby dopiero niedorzeczną, bo wyjątki znam, a więc usuwać ich nie mogę.

— Gdzie pan zbierałeś swoje spostrzeżenia? Chyba bardzo... nisko?

— Przeciwnie, dość wysoko. Znalazłem rzeczywiście wiele stosunków trwałych w formie, ale dużo — kruchych w istocie. Widziałem masę par, które wyglądały jak dwie książki różnej treści, oprawione w jeden tom przez introligatora — księdza. Trzymają się razem, noszą wspólny, złotemi głoskami wyciśnięty tytuł: małżeństwo, ale gdy kto uważny do nich zajrzy, niewątpliwie zobaczy, że sobie wzajemnie przeczą, mogłyby być rozdzielone i równie dobrze wejść w inne połączenia. Pani swego męża nie kochasz, a przecie dotąd byłaś formalnie wierną żoną i dla świata nią pozostaniesz, jeżeli ktoś twoich szczerych wyznań nie podsłucha i nie rozgłosi. I czemu zawdzięczacie wasz związek?

Kłamstwu. Powiedz pani dziś mężowi otwarcie, co myślisz, a jutro cię opuści. Troskliwe matki nasze wiedzą, co robią, zalecając swym córkom przyzwoitą obłudę.

— Pan strasznie wyzyskujesz kilka nieopatrznych wyrazów moich...

— Wyzyskuję? Na co? Czy mi pani gniew potrzebny, albo przyjemny? To nie ja, tylko pożądana przez panią prawda jest tak okrutna. Ale pociesz się pani moją... regułą, która pod tym względem kobiety równouprawnia. Bo czegoż one nie kłamią? Naiwność, wiek, miłość, macierzyństwo — wszystko. Pokaż mi pani taką, która przyzna się, że kazała sobie wprawić zęb lub od miesiąca ma nadzieję zostać matką. Po tylu wiekach nieprzerwanego dziedziczenia owej wady przynosicie ją na świat w połowie jako instynkt. Często nie jest to już wyrozumowana obłuda, ale nieświadomy nałóg. Pewien doświadczony uwodziciel zaręczał mi, że jego zamężna kochanka wpadła raz w straszne spazmy po setnej może schadzce, dowiedziawszy się od niego, że jej siostra z ostatnim dowodem swej miłości dla narzeczonego nie czekała ślubu. Znałem matkę, której mąż okradł małe dzieci i która nie chciała wydać córki za porządnego człowieka, gdyż jego ojciec był sekwestratorem. Tylko Magdalena pokutująca nie czuje się godną rzucić kamieniem na grzeszącą.

— Więc pan chcesz, ażeby występki odślaniał wszystkim swą nagość?

— Ja co najwyżej chcę, ażeby się nie przybierał w pozory cnoty, ażeby nie był bezczelnym i głupim. Według mnie, występkiem kobiety tak zwanej upadłej jest tylko kłamstwo.

— Pan nie umiesz prostować myśli, tylko je targać. Półgodzinną rozmową wykopałeś około mnie przepaście, pozostawiwszy chwiejną na ostrym szczycie skały, z którego nie mogę ani zejść, ani na grunt pewny zeskoczyć, a pan szydzisz z mojej omyłki, w której przypuszczałam, że dla rzucającej się otworzysz ramiona. Gdyby nie kilka wyrazów, co mnie zdradziły, śmiałabym się z tego sofistycznego bicza, który pan na kobiety kręcisz. Teraz jestem bezbronna. Niewielki to wszakże tryumf dla pana, żeś mi zmałował głowę; tę samą sztukę potrafi kieliszek mocnego wina. Ale... otrzeźwięję.

— Wolalbym, żeby to nastąpiło zaraz, inaczej musiałbym odejść, nie przekonawszy pani, że cię kocham.

— Po swojemu.

— Istotnie, po swojemu.

— Dowodzisz pan jak kangur, gdyby sądził, że ogon, którym się podpiera, nie jest ogonem, lecz pastorałem. Już nazwij pan sobie ten nowotwór uczuciowy, czem chcesz, tylko nie miłością, bo... odzyskam humor. To pryszcz, przegimnastykowanego rozumu, ale nie popęd krwistego serca.

— A jednakże to jest rzeczywista, bo zmysłowa miłość.

— Mój panie, zmysły są ślepe, a pańska miłość chyba, nawet śpiąc, oczu nie zamyka.

— Cobyś pani powiedziała o człowieku, któryby zachwycony obrazem Madonny florentyńskiej, ukradł ją z galerii Pittich i powiesił w swoim sypialnym pokoju? Powiedziałabyś, że w nim złodziej zwyciężył estetyka. Podobnie czyni ten, kto pokochawszy cudzą żonę, uwodzi ją. Ewa, jak Adam, jest naprzód człowiekiem, może zatem posiadać przymioty ogólnoludzkie: być uczoną, dobrotliwą, utalentowaną, złą i t. d. Ale następnie jest ona kobietą, jak Adam mężczyzną, czyli istotą, która w płci drugiej budzi pewne uczucia. Jakież? Estetyczne. Kobieta brzydka, albo raczej ta, która mi się nie podoba, jest dla mnie człowiekiem; dopiero piękna, albo ta, która mi się podoba, jest kobietą. Otóż kobietę mężczyzna kochać może jedynie zmysłami, a jeśli który twierdzi inaczej, to świadomie lub bezwiednie kłamie. Za przekonujący dowód możesz posłużyć pani. Zawsze otaczał cię tłum wielbicieli; przypuśćmy, że wszystkie umysłowe i moralne zalety twoje przeniesiemy w postać jakiejś matrony lub też mężczyzny: czy ci wielbiciele, którzy się dziś unoszą nad twoim rozumem i uczuciami pozostaną? Co do mnie — wyznaję, że jako człowiek jesteś pani zwykłą, ale jako kobieta — niezwykłą. Jeżeli zaś spotkam piękny obraz, dzieło natury lub sztuki, zachwyć się nim bez myśli odebrania go właścicielowi. Czemużbym nie miał podobnie zachować się wobec cudzej żony? Zapewne czuję chęć wyłącznego posiadania jej, jak czuję chęć posiadania Madonny florentyńskiej, ale czyż nie mogę oprzeć się rozumem temu popędowi? Wobec miliona zadowoleń estetycznych, jakich doznaję, jedna chwila zwierzęcej przyjemności jest tak małą, że dla niej nie warto być podstępny złodziejem, unieszczęśliwiać żonę, łamać życie męża i walić na siebie zburzoną ich rodzinę.

— Bardzo... idealnie!

— Rozumnie. Bądźmy konsekwentni. W ciągu życia może mi się podobać mężatek mniej więcej trzydzieści. Przecież chyba pani nie powiesz, że należałoby wszystkim ich małżonkom przyprowadzić rogi. Idealnie sądząc, powinienbym wyprzeć się wszelkich poza prawym związkiem uczuć, powinienbym skłamać, że żadnej prócz własnej żony nie uwielbiam, a skrycie z każdą romansować. Byłby to bardzo czcigodny fałsz, którego nie popełnię. Ja czuję, więc mówię po ludzku, szczerze, a nie przypuszczam, ażebym kogokolwiek tem krzywdził, że nie będąc całkowicie pochłonięty przez moją świątobliwą, trądem oszpeconą żonę, znajduję estetyczną przyjemność w obcowaniu z innymi kobietami. Czasem krew gwałtownie zakipi, ale od czegoż jest rozum, żeby jej wybuchowi nie zapobiegł?

— A jednakże powiedziałeś pan, że poszedłbyś do ostatniego krańca w miłości z kobietą, któraby była zupełnie świadomą swych czynów...

— Jeśli jest wolną — i któraby miała odwagę przyznać się temu, który jej zaufał, jeśli jest zamężną.

— Ha, ha, ha, pan byś dla prawdy świat zgubił! Jest to fanatyzm, nie liczący się z warunkami rzeczywistego życia. Chcesz pan, ażeby kobieta, mająca nieraz dzieci, do których jest przywiązana, wypowiadała się przed mężem ze swej miłości dla innego, którego również krępują te same węzły i który jej poślubić nie może; ażeby daremnie rozdarła dwie rodziny; ażeby szczerością zabiła to, co tajemnicą w spokoju utrzymać zdoła — nie, to recepta dla szaleńców. A z drugiej strony nie zaprzeczysz pan, że ci ludzie mają naturalne prawo kochać się, dążyć do siebie, pragnąć wspólnego życia, tajemnych, kradzionych rozkoszy.

— To sprawa całkiem inna. Miłość pomiędzy kobietą zamężną a mężczyzną żonatym, której rozum stłumić nie może a obowiązki ujawnić nie pozwalają, jest nieszczęściem, a wszystkie nieszczęścia mają swój osobny kodeks — rozpaczy.

— Pomówimy o nim kiedykolwiek?

— Nie!

II. Z PAMIĘTNIKA

Na karcie 136 tego pamiętnika zapisany był następujący dialog:

— Nigdy nie dali przyjść mi do słowa — przez całe życie!

— Może pani za dużo mówić chciała.

— I pan żartem zamykasz mi usta — to samo wszyscy robili.

— Bo nie mogę pojąć, jakim dziwnym sprzysiężeniem odbierali królowej głos niewolnicy. Chyba pani nad nimi nie panowała...

— Owszem, najszlachetniej. Wielbicieli miałam tylu, ilu znajomych, a nie jeden z nich za jedną moją łaskę dałby kawał swego humoru, gdybym tego żądała. Panowałam tak despotycznie, jak tylko kobieta piękna panować może.

— Więc cóż pani przeszkadzało mówić?

— Moja uroda. Słyszałeś pan o niej, ale szukając dziś potwierdzenia cudzych sądów w siwych włosach, w przygasłym oku, w pomarszczonej skórze, nie więcej znajdujesz, niż gdybyś w zwęglonych szczątkach obrazu odtwarzał sobie rysy spalonego portretu. Dziś jestem poza swoją młodością i jako bezstronny jej sędzia rzec mogę: byłam bardzo piękną. Nie roześmiej się pan, bo to już nie samochwalstwo w ustach kobiety, dla której życie kwitnące jest odległym snem, a śmierć — bliską rzeczywistością. Ile razy pochlebstwa mnie odurzyły, biegłam do zwierciadła i pytałam je o szczerze wyznanie: ukazywało mi postać prześlicznie rzeźbionego wykroju, głowę posągowej kształtności, twarz bez błędu, oczy tak pełne blasków, jak gdyby mocnym światłem podtrzymywać chciały niepokalaną białość moich lic i koralową barwę ust. Nie widywałam na ciele skazy, nie uczeplił się go na długo żaden pryszcz. Wcześniej zwrócono mi na to wszystko uwagę, bo wcześniej zaczęła się moja niedola.

— O ile słyszałem, żyła pani zawsze w dostatku.

— Pan mnie jeszcze nie rozumiesz. Do dziesiątego roku nie umiałam czytać, a wiedzę niewiele przewyższałam ptaka, którego natura ustroiła w piękne pióra. Uświadamiano mi tylko i chwalono moją urodę.

Raz zagadnęłam pewnego staruszka, czy to prawda, że ziemia okrągła — przysunął mnie i ucałował; innym razem prosiłam młodego kuzyna matki o wyjaśnienie, czy istnieją czapki niewidymki i stumilowe buty — podniósł mnie i wycalował.

I zawsze, czy do kogoś przemówiłam, czy przybiegłam, wszyscy chwyтали mnie i całowali — całowali mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, przyjemni i obrzydliwi, ach, czasem tak obrzydliwi, że aż dotknięcie ich ust zmywałam i ścierałam.

— Dotąd jeszcze nie widzę niedoli.

— I ja jej nie widziałam, bo poznałam ją znacznie później. Nie pamiętam już, jak mnie nauczono czytać, pisać i nieco myśleć. Nareszcie ojciec dał mi guwernera przychodniego i guwernantkę stałą. Miałam wówczas lat czternaście. Podczas jednej lekcji, gdy skończyłam opowiadać po francusku myt o Dyanie, nauczyciel mój, szczególnie zarumieniony, utkwił we mnie wzrok gorączkowy. „Czy się pomyliłam?” — pytam. On milczy. Powtarzam pytanie — on dalej milczy i patrzy tak strasznie, że, drżąc z obawy, wyjąkałam: „Co panu jest?” Nagłym ruchem porwał mnie w swoje objęcia i — pocałował. Krzyknęłam przeraźliwie — z sąsiedniego pokoju wbiegł ojciec. Guwerner poprosił mnie, ażebym wyszła. Za drzwiami usłyszałam podniesiony głos ojca, a wkrótce potem wybiegł francuz, który już nigdy nie wrócił. Ukształcenia mojego dokończyła guwernantka, która pożegnała mnie zapewnieniem, że więcej umiem, niż kobiecie tak pięknej potrzeba. Czułam w tych słowach nieprawdę, ale szybko zapomniałam o niej, bo prąd wesołego życia zaraz mnie uniósł. W domu naszym zaczęło się odbywać formalne nabożeństwo: tłum kornych wielbicieli klęczał przede mną, modlił się, palił kadzidła i składał ofiary. Doznawałam wrażeń statuy na ołtarzu, która, przyjmując hołdy, nie zastanawia się nad sobą. Teraz, po długim doświadczeniu widzę, że tylko nieszczęśliwi rozróżniają ludzi według najdrobniejszych odcieni ich wartości, szczęśliwi natomiast nie podejmują tego trudu. Dla mnie wszyscy mężczyźni zlewali się w kilka zaledwie odmian: jeden był od drugiego starszy, przystojniejszy, bogatszy, ale wszyscy byli do siebie podobni, bo wszyscy powtarzali mi te same pochlebstwa, wyrażali te same uczucia i gotowość do tych samych usług. Nie zastanawiałam się wcale nad różnicami w ich charakterze, rozumie i uzdolnieniach, żaden nie dopuścił nawet do badania się w tym względzie. Gdy nieraz próbowałam zwrócić rozmowę w kierunku poważniejszym, wplatali w nią złote nici uwielbienia lub ucinali zachwytem nad moimi wdziękami. To też jakkolwiek paru darzyłam większą, niż innych, sympatyą, było mi dość obojętnym, którego z nich ojciec dla mnie wybierze. Zwyciężył zamożny i elegancki przemysłowiec, którego żoną zostałam bez miłości, ale i bez wstrętu.

— Nikogo pani nie kochałaś?

— Trzeba być kobietą piękną i tak wychowaną, ażeby pojąć tego rodzaju paraliż serca. Istnieją osobne zakłady dla kalek, idiotów, ślepych, głuchoniemych; wierz mi pan, że równie użyteczną byłaby odrębna szkoła dla pięknych kobiet, o której dotąd nie pomyślano. Bo to są także istoty nienormalne, wyjątkowe, psute i unieszczęśliwiane w warunkach zwykłych. Nadmiernie rozwinięty przymiot tak samo narusza równowagę życia, jak wada; geniusz jest niesprawiedliwością natury, jak idyotyzm, piękność — jak brzydota. Jeżeli zaś szczególnej opieki ze strony społeczeństwa doznają upośledzeni, czemuż nie mają do niej prawa obdarowani?

— Takiego przywileju pięknym kobietom odmówiłbym w imię publicznego... bezpieczeństwa.

— Zapewne, uroczą gęś mniej groźna od orlicy, ależ i wielki rozum, talent jest także burzycielem spokoju.

— Radbym wszakże usłyszeć, kiedy się zaczęło nieszczęście pani?

— W małżeństwie. Przeszłam na własność człowieka, który dalej modlił się do mnie, ale jednostkowe modły już nie mogły zadowolić mnie, przywykłej do bałwochwalstwa licznej rzeszy. To solo uwielbień było nudnym, zwłaszcza że nie odbijało się w moim sercu echem miłości. Nadto mąż, prócz objaśnień o swoich interesach, niczem mojej duszy nie karmił. Często pozostawiona w samotności, zaczęłam czytać i rozmyślać. Wtedy przekonałam się, że w atmosferze moralnej ogółu istnieje wiele uczuć, któremi nigdy nie oddychałam, że w świetle umysłowym drga dużo prawd, których promienie nie przeniknęły do mojego mózgu. Opanował mnie smutek i gniew: żałowałam nieświadomie młodych lat straconych i buntowałam się przeciwko tej kolei, po której przejść miałam

z resztą życia. Nie wyrażę panu dostatecznie obrzydzenia, jakie mnie ogarnęło, gdy w kilka dni potem na balu jeden z dawnych wielbicieli ponowił mi swoje hołdy. Zatrzęsłam się zgrozą.

— Jakże mąż pani wyszedł na tej przemianie?

— Z początku wcale jej nie dostrzegł, później zauważył, że utraciłam wesołość i podwoił zabiegi w dogadzaniu najkapryśniejszym moim żądaniom, wreszcie oswoił się ze złym humorem.

— Nie mogła go pani pokochać?

— Nie, pomimo że był człowiekiem najlepszych chęci i najłagodniejszej uległości. Niewątpliwie uszczęśliwiłby każdą kobietę z umysłem nieprzebudzonym, ale nie umiał uspokoić wzburzonej, która nagle zerwała się ze snu i zapragnęła gwałtownych uniesień. Cierpiąc sama, współczułam jego krzywdę, jaką mu mimowolnie wyrządzałam. Bo ostatecznie, cóż on był winien? Miał względem mnie tylko dobre zamiary.

— Dlaczego pani jednakże nie przeciągnęła dalej swojego snu? Właściwie, prócz nazwiska, mieszkania i najbliższej zależności, warunki życia pani nie zmieniły się, a nawet przyrosła w nich nieco swoboda. Mężatka zeskakuje ze szcudeł, na których musiała chodzić jako panna, rozluźnia sznurówkę konwenansu, skraca sobie maskę obłudy, przestaje mówić kącikiem ust, przybierać uciążliwe pozy towarzyskie — słowem, używa większej wygody.

— Tak, ale to usamowolnienie obejmuje również jej myśli. Gdy pierwsze wrażenia nowego stanu uschną jak kwiaty weselne, zaczyna ona dumać. Kobieta ślubem małżeńskim zamyka pierwszy tom swego życia, a skończywszy go, zastanawia się i przegląda w pamięci wypadki minione. Ze wspomnień wysnuwa wnioski i wróżby dla tomu drugiego, który musi być trzeźwiejszym. Od tej chwili rozumuje, jeżeli zaś, jak ja, często przebywa samotną, nie ma dzieci, a z natury posiada umysł ruchliwy — rozumuje dużo i po wielu manowcach dochodzi zawsze do jednego przekonania, że jest nieszczęśliwą. Na dnie każdej rozkoszy znajduje gorzką kroplę, rozczarowywa się z okrucieństwem, zrzuca ze swej duszy wszelkie złudzenia, ściera z przedmiotów dawnej swej sympatyj barwy jasne i nakłada ciemne. Staje się równie zapamiętałą pesymistką, jak przedtem była optymistką. Rzeczywistość nie dogadza jej niczem, bezwładność umysłowa nie pozwala osiągnąć niczego. A przytem ciągle pragnie.

— Czego pani pragnęła?

— Nie wiedziałam dokładnie, chęci moje rozplywały się w nieokreślonym niepokoju. Z tego tylko zdawałam sobie sprawę ściśle, że większą część drogi życia przesłam z zamkniętymi oczami, że odrazu przeprowadzono mnie z dzieciństwa na próg starości, że w piersi mojej zrodził się nagle rój uczuć i myśli bezskrzydłych, uwięzionych, które już nigdy nie wybiegną ze swej klatki, że mnie zgubiła moja piękność. Gdy mąż umarł, gdy pozostałam zupełnie samą, uwolnioną od obowiązków, rój ten obsiadł mi mózg i serce, zaczął je gryźć, brzęczeć, szemrać; zdawało mi się, że robaki toczą moje niegdyś piękne, a teraz gnijące ciało. Owinęła mnie wreszcie chłodnym oddechem starość; krew oziębła, tętna jej zwolniały, nie gotuje się w mojej duszy war gorących, a stłumionych pragnień, lecz ona jeszcze całkiem nie wystygła i od czasu do czasu się rozgrzewa. Ach, panie, samym domysłem nie odgadniesz, co to za męczarnia być rośliną kwitnącą w porze zimowej, drzewem, którego piękna kora opadła, a gałązki pokryły się spóźnionymi liśćmi, ginącymi w mroźnym szronie, kobietą, która straciła urocze ciało wtedy, kiedy jej duch zakwitł. Czy dla takiej boleści nie masz pan nic więcej prócz szyderstwa?

— Nie przeczę, że tkwi w niej dramat, ale jeżeli połowę życia wypełnia jakiegokolwiek szczęście, to dla człowieka dosyć. Pani wymagała od losu za wiele, ażeby oba tomy napisał wesoło. Byłaby to powieść nie — ludzka.

III. SAM W SOBIE

Ależ ja jestem dziecinny, głupi, niewdzięczny przypadkowi, który mnie tu przywiódł! Miotam się, jak zwierzę w klatce, której wszystkie ściany są otwarte. Przecież potrzebuję tylko iść ciągle w jakimkolwiek kierunku, ażeby wydobyć się z tej puszczy i trafić na jakąś drogę, która mnie zawiedzie — och! — z pewnością zawiedzie do ludzkiego stada. Otóż nie ruszę się, pozostanę tu, skoro znalazłem siebie, siebie całego. Tak, tu dopiero

jestem Jakób Czarski, tylko Jakób Czarski, bez żadnych dodatków. Tam wyglądam jak słup starego zamczyska, na którym byle kiej wycina lub wypisuje swoje nazwisko. Tu mogę zeszkrobać z siebie te wszystkie napisy. Nie jestem ani kontrolerem kuponów, ani podwładnym Nadymalskiego, ani mężem ciała, owiniętego w jedwab, wełnę i len, a całującego mnie namiętnie w kieszeń, ani ojcem ciałek, stanowiących orkiestrę rodzinną, ani lokatorem Diamantenbarta, tylko Jakóbem Czarskim. Nie — ja tu nawet nie jestem Jakóbem Czarskim, bo mogę zapomnieć, że przed 30 laty zostałem ochrzczony i otrzymałem imię Jakób, że mnie spłodził Izydor Czarski, a urodziła Tekla z Chmurskich. Tu mogę być bezimienny, bezzenny, bezdzietny, bez rodowodu, urzędu, paszportu, metryki, bez żadnych związków, tytułów, opinii przyjaciół i wrogów, jak ten dąb, który nie nazywa się, nie jest zapisany w żadnych księgach i nie określony w swych stosunkach do innych drzew. On jest coś, a ja ktoś — człowiek, oderwany od wszystkiego i wszystkich. Ach, jak to dobrze wyluskać się z tej skóry społecznej! Dusza mi się rozpręży, wyciąga, czuje w sobie swobodny obieg myśli, jak gdyby dotąd była nogą chinki i wyjęta została z drewnianego trzewika. Tu się położę, odetchnę pierwszy raz w życiu nieprzygniecioną piersią. Jakże przyjemnie, błogo... Ha, ha, ha, kręć się tam daleko tumanie ludzkiego kurzu, zgarniaj liście, piasek, badyle — nic mnie nie obchodzisz. A jeśli któryś z twoich pyłków zauważy i zaniepokoi się tem, że Jakób Czarski podczas wyprawy myśliwskiej przepadł gdzieś w lesie — mniejsza o to. On leży sobie sam, bezpieczny, spokojny, wyprzężony z wszelkich chomąt, odcięty od wszelkich zależności.

Czego ta sroka tak zaskrzeczała? Zapewne sądzi, że zacząłem się na nią. I ona dała mi jakiś tytuł — mordercy. Jaszczurka także uciekła. I ona przypuszcza, że ją chcę zabić. Nie bójcie się, zwierzątka — ani myślę być dla was wrogiem. Używać będę rozkoszy poczucia siebie samego.

Chyba nigdy nie miałem ani godziny takiego wyzwolenia. Pamiętam, wszedłem do pokoju, w którym siedział ojciec ze swoim znajomym. Mój syn — rzekł do niego — uczeń trzeciej klasy. Ani słowa o mnie, tylko o tych, do których należą — o sobie i szkole — jak gdybym sam przez się nie istniał. Pokazując mu swoje cielę, nie byłby powiedział: oto jest moje cielę, przed miesiącem odsadzone od matki i umieszczone w trzeciej przegrodzie obory, lecz: jest to cielę holenderskie, trzymiesięczne, waży 150 funtów i posiada cechy swojej rasy. Tak działo się zawsze. Dla siostr byłem jedynie bratem, dla towarzyszy — kolegą, dla służby — paniczem. Kiedy wreszcie wyszedłem z uniwersytetu i rozpocząłem życie samodzielne, zdawało mi się, iż zostaną uznany za istotę odrębną. Wkrótce jednak rzeczywistość potargała mi to złudzenie. Przedstawiony na balu jakiejś pannie, obróciwszy w walcu kilka razy ją koło siebie, a siebie koło niej, wybiegłem do drugiego pokoju, ażeby się ochłodzić. Po chwili słyszę przez kotarę, jak moja tancerka mówi do gospodyni domu:

- Wiem, że Jakób Czarski, ale to mnie jeszcze niczego nie uczy.
- Skończył uniwersytet, bardzo inteligentny chłopiec.
- No dobrze, ale kto on?
- Kandydat prawa.
- Ach, Boże, co za jeden?
- Pomocnik sekretarza w Towarzystwie kredytowym.
- Teraz rozumiem.

Chciałem wybiedz do niej i powiedzieć: A ja nie rozumiem, dlaczego głowa pani nie rośnie na kapuścianym zagonie.

Dziś jeszcze bardziej, niż wówczas, nie dziwię się temu, że uczulem obrzydzenie do życia, w którym, zamiast odzyskiwać, coraz bardziej traciłem osobowość. A przecież, jakże ojciec wytrzeszczył na mnie oczy, gdy mu wypowiadałem się z tego smutku i poprosiłem go o 200 rs. na wyjazd za granicę dla „odnalezienia siebie”.

— Mój chłopcze (znowu „mój”) — rzekł — ty nie zgubiłeś siebie, ale swój rozum, który istotnie powinieneś odszukać.

Mimo tej przestrogi pojechałem. Łotr konduktor, jak gdyby chciał mi zatruć ostatnią chwilę pobytu w kraju, bąknął na przedostatniej stacji do nadkonduktora, wskazując mnie:

- Od tego pasażera nie odebrałem biletu, bo ma zagraniczny.
- Dla niego byłem tylko pasażerem.

Ryba w wodzie nie oddycha tak lekko, jak człowiek, pragnący być sobą, w zupełnie obcym otoczeniu za granicą. Tam nikt nie wiedział, że jestem Jakób Czarski, syn Izydora i Tekli, brat Wikci i Mani, kontroler kuponów, lokator Diamantenbarta, każdy spotykał człowieka, a gdy z nim porozmawiał, przekonywał się, jakiego człowieka. Nawet gospodyni, u której wynająłem pokój w Berlinie, dzięki oporowi gardła, które nie pozwalało jej wymówić mojego nazwiska, nie oznaczała mnie żadnym mianem. To też błogo mi było w mojej bezimienności i beztytułowości. Doznawałem upajającej rozkoszy, rozmawiając przez kilka godzin w galerii pocztamskiej z jakimś Niemcem. Ale on nie wytrzymał.

— Jestem już zmęczony — rzekł — chodźmy do poblizkiego ogródka, tam przy piwie dokończymy naszej gawędy.

— Dobrze — odparłem — ale pod warunkiem, że obaj nie wymienimy między sobą wzajemnych meldunków. Ja nie chcę wiedzieć, jak pan się nazywasz i kim pan jesteś, a pan nie pytaj mnie o to.

Jak on na mnie spojrział naprzód ze zdziwieniem, a potem z podejrzliwością!

— Przyjechałem tu, ażeby obcować z ludźmi tylko jako z ludźmi.

Zdawało mi się, że w oczach jego wyczytałem uwagę: albo łotr, albo dostojnik, podróżujący *incognito*. Poszedł jednak na piwo i rozprawiał ze mną chętnie, a nawet przy pożegnaniu wyraził pochwałę dla mojej inteligencji. I byłaby nasza znajomość rozwinęła się bardzo ładnie, gdyby nie był zwierzył się z niej swoim przyjaciółom i gdyby oni mnie nie zaczęli obserwować w knajpie, gdzie ze mną spędzał parę godzin. Uciekłem z Berlina, bo musiało wyjść na jaw, że jestem Jakób Czarski, kontroler kuponów itd.

W Hadze siedziałem tak bezimienny, jak każdy z serów, leżących tam na olbrzymich kupach. Byłoby mi tam lepiej, niż krabowi na dnie morza, gdyby...

Czyż ciągle mam cierpieć przy tem wspomnieniu? Czy nawet wtedy, gdyby niedogaszona przez śmierć iskierka życia roztila się przypadkiem w moich popiołach i gdybym po stu latach leżenia w grobie odzyskał na chwilę świadomość a z nią pamięć, czy i wtedy to wspomnienie byłoby dla mnie boleścią? Dziwnie mściwa jest miłość. Ona swej krzywdy nigdy nie zapomina i nie przebacza. Nie pozwala czasowi zagoić swojej rany, otwiera ją i pogłębia coraz bardziej, zjawia się widmem podczas każdego wesela i mówi ze strasznym wyrzutem: ty się śmiejesz? Jeżeli kochałem a los przygnoił i rozmiażdżył brutalną stopą moje serce — powinienem jeszcze za to cierpieć? Odejdź ztąd, nielitościwa maro, ja w tem pustkowiu chcę być sam z sobą, zupełnie sam! Znęcasz się nade mną, jak gdybyś była upiorem zamordowanej przeze mnie ofiary, a przecież ja pragnąłem tylko obdarzyć ją wszystkim dobrem, na jakie miłość moja zdobyć się mogła. Ach, czemu to uczucia nie przesuwiają się przez naszą duszę, jak te białe obłoczki po niebie! Płyną i znikają, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów — wspomnień.

Na pozór wydaje się to najpospolitszą i powszechnie wykonywaną regułą: trzeba chcieć. Bo wszakże wszyscy ludzie czegoś żądają i do czegoś dążą. Tymczasem chcieć istotnie, nie rzec się swego pragnienia wobec żadnej woli, usiłować przebić niem wszelki mur, ginąć w walce z ostatniem jego słowem na ustach, chcieć dopóty, dopóki życia starczy lub dopóki cel nie zostanie osiągnięty — umięją tylko natury wyjątkowe. Większość ludzi uczuwa i wyraża swe zachcenia jak dzieci, którym dość zaprzeczyć, pogrozić na nosie lub pokazać różgę, ażeby odstąpiły od swego zamiaru i zapomniały o nim. Silną i niezłomną wolę mają tylko bogowie lub ich wcielenia na ziemi; jest ona tak nieczłowieczą, jak wszechmoc.

I ja chciałem, ale marnie, miękko. Nie jak sztylet, który przebija wszystko, dopóki na twardym oporze się nie złamie, ale jak szparag, który włazi w otwarte usta, a na zamkniętych się zgina. Gdybym był miał hartowniejszą wolę, z pewnością byłbym okaleczył kogoś i siebie, ale doznał przyjemności bólu. Głupcy! Lubimy jeść chrzan, paprykę, gorczycę, które nas szczypią w język, ale sprawiają zadowolenie, a nie umiemy zadać sobie wielu bólów rozkosznych. Mam na swe usprawiedliwienie tylko jedno: miłość serc małych i płytkich rodzi się odrazu dojrzała i roztropna jak dzikie kaczkę, które z jajka wypływa na wodę; miłość serc wielkich i głębokich rodzi się jak bezradne i niedołążne niemowlę, które musi być pielęgnowane i karmione. Człowiek zakochany, to robak w podnózu góry, którą próbuje podnieść. Wie on, co należy zrobić uczuciem, ale nie wie, jak użyć rozumu. Wtedy zawsze powinien sobie pożyczyć cudzego. Ja miałem tylko swój własny.

Ile to tajemnic kryje się w jednej wymianie spojrzeń ludzkich! Nie patrz na mnie maro, zlituj się!...

Zapewne, mężczyzna, pragnący poznać się nie z Marysią lub Kasią, która go uwolni od rekomendacji szczegółowej i poprzestanie na widoku jego wąsów, spodni i tużurka, lecz z damą, musi odkryć co najmniej swoje nazwisko, ale może przecie wśród miliona znaleźć jedną, która go uwolni nawet od tego obowiązku. Przystąpić do kobiety „z towarzystwa” i powiedzieć jej, wyraźnie lub domyślnie: ja panią chcę znać, lecz proszę nie pytać mnie, kim jestem — to bezczelna zuchwałość wobec wszystkich, tylko nie wobec jednej, która ma takie samo życzenie. Dlaczego odgadłem, że ta piękna, strojna, poważna smutkiem, na którym nieraz czarowny uśmiech połyskiwał, zapatrzona codziennie w migotliwe fale morza, jest tą przeze mnie pożądaną i poszukiwaną? Doprawdy nie wiem. Kształtnie jej wygięta kibić, blada twarz, czarne rzęsiste włosy, szare oczy mówiły mi tylko, że jest cudowna. Wszystkie te uroki nie wyrażają żadnych zasad, nie znamionują nawet usposobienia. Mimo to, gdy ją wzrok mój objął i ucałował siedzącą na ławce szewenińskiego bulwaru, rozlało mi się po duszy radosne przeczucie, że mogę odezwać się do niej, nie zlizawszy wprzód językiem objaśnień mego paszportu.

Przypuszczam, że na wszystkich mężczyzn, którym się podobała jakaś nieznajoma kobieta, towarzyszące jej dziecko sprawia wrażenie żalobnej krepki, która ostrzega: nie zbliżaj się ze swawolną lub nieprawą myślą. Ja w tym malcu, skaczącym koło matki z piłką, widziałem groźnego anioła z ognistym mieczem, który strzegł mi wejścia do rajku. A przecież on mi otworzył bramę. Piłka, odskoczywszy od ziemi, uderzyła mię w głowę. Ohłopiec uciekł, a gdy ja podniosłem piłkę, ona rzekła z wdzięcznym zakłopotaniem (po niemiecku):

— Przepraszam pana, bardzo przepraszam.

Coś wybąknąłem i wróciłem do swojej ławki, wyrzucając sobie niezdolność wyzyskania sposobności. Chłopiec odbiegł w przeciwną stronę i cisnął piłkę, która wpadła w morze. Zszedłem schodami bulwaru na dół, wydobyłem ją i oddałem matce.

— Pan zbyt dobry dla mojego syna. Dziękuję.

— Za co? On mi przed chwilą wyświadczył usługę, teraz ja jemu.

— On... który uderzył pana piłką?

— Tak.

Nie rozumiem.

— A to proste. Gdybym przedtem zdjął kapelusz i powiedział, jak się nazywam, kim jestem, z kąd pochodzę, oddaliłaby się pani ztąd, nie rzekłszy do mnie ani słowa. Tymczasem drobny wypadek przełamał zapory konwenansu.

— Nie usunął mi jednak potrzeby dowiedzenia się, z kim mam przyjemność...

— Dotąd przyjemności nie ma pani żadnej... Jestem zaś człowiekiem

— Widzę, ale to za mało.

— Naturalnie, jeżeli pani przyzna mi łaskawie prawo rozmowy przy spotkaniu tutaj lub gdzieindziej, dostarczę o sobie szczegółów więcej.

— Dlaczego pan mnie wprowadza w kłopotliwe położenie?

— Bynajmniej. Z oczu pani przegląda rozum, łatwo więc pani uwzględni moje usprawiedliwienie się. Posiadam narodowość, nazwisko, tytuł — wszystko, co potrzebne dobrze zarejestrowanemu obywatelowi kraju; ale ponieważ w tych przydawkach zewnętrznych ginie moja wewnętrzna istota, o którą nikt nie pyta, zapragnąłem więc przez kilka miesięcy żyć wśród ludzi obcych tylko jako bezimienny człowiek. Pozwól mi pani wobec siebie dogodzić temu pragnieniu, jeżeli umiesz być miłosierną i nie skąpisz małego ustępstwa dla zrobienia komuś wielkiego zadowolenia. Nie miej pani żadnych obaw — moja legitymacja moralna jest w zupełnym porządku.

Oczy jej błysnęły ciekawością.

— W tak młodym wieku masz pan już tak stare dziwactwa.

Mnie się zdaje, że takie dziwactwa objawiają się silnie tylko w młodości. Dusza stara nosi już na sobie skorupę żółwia, której ani rozbić, ani zrzucić nie może. Sądzę zaś, że wszyscy ludzie lepsi bodaj raz w życiu uczuwają chęć ukazania się innym bez przypadkowych osłonek. Czemużby człowiek miał posiadać mniej dumy, niż orzech, który wyluskuje się z zielonej powłoki i twardej łupiny, ażeby w ziemi kiełkować? Człowiek, ukrywając w takiej łupinie różnych nazw i tytułów swoje jądro, nietylko często je skazuje

na zeschnięcie, ale obrzydza się innym. Przypuśćmy, że pani nazwie się córką arystokraty, ja zaś synem demokracji — odrazu staniemy wobec siebie na wrogich stanowiskach, pomimo że możemy wyznawać jednakże zasady społeczne. Przypuśćmy dalej, że pani jest Niemką a ja Francuzem, natychmiast zaczniemy się nienawidzić, chociaż...

Utkwiwszy wzrok w ziemi, westchnęła.

— Ma pan dużo racji.

— Czyż więc nie lepiej, ażeby nie arystokratka z demokracją, Niemka z Francuzem, ale człowiek rozmawiał z człowiekiem? Volapük wyśmiano, a jednak tkwi w nim wielka idea. Język powszechny pozwoliłby ludziom zataić swoje pochodzenie. Kiedyś był nim łaciński — i wtedy studenci najrozmaitszych narodowości w Padwie lub Pradze stanowili jak gdyby jedną rodzinę. Dziś dzielą się na związki, kółka, stowarzyszenia narodowe — i szczerzą do siebie zęby, jak psy z różnych bud. Francuz warczy na Niemca, Irlandczyk na Anglika, Słowak na Węgry, nietylko w swoim domu, ale wszędzie. Gdyby przynajmniej, spotkawszy się gdzieś daleko, zaczęli wzajemnie widzieć w sobie ludzi. Volapük by to sprawił.

— Wątpię. On przecież nie wyprostowałby zgiętych nosów i nie zwinął obwisłych warg.

— Europejczycy tak dalece się zmieszali i upodobnili, że bez pomocy nazw nie zdołaliby podzielić się na szczepy. Zresztą pojmuję i uznaję wstręt rasowy, jeżeli jest uczuciem szczerem, naturalnym, niewzbudzonem sztucznie, jak odraza ptaka do ryby.

— Och, to wystarczy, aby się wzajemnie pokąsać.

— Zapewne, ale przynajmniej nie tak często i nie tak zajadle. Ludzie nie uświadamiają sobie, o ile są niewolnikami wyrazów, które wywierają na nich wpływ hipnotyzujący. Gdy usłyszą: to jest książę — zaraz dostrzegają wytworność, to szewc — zaraz uderza ich ordynarność, to Włoch — zaraz czują żar temperamentu, to Żyd — zaraz przeczuwają szachraj. Niech by zataili przed sobą te nazwy i spróbowali je odgadnąć, szewc zostałby uznany za księcia, a Żyd za Włocha.

— Czy na pana wyrazy nie oddziaływały wcale?

— Nie.

Nadeszła jakaś wysoka, niemłoda kobieta, która zamieniła z nią kilka słów po angielsku.

— Jak to dobrze, że pani używa drugiego języka — zaciera to jeszcze bardziej ślady dla domysłu.

Uśmiechnęła się, skinęła mi głową i odeszła z towarzyszką. Straciwszy ją z oczu, dostrzegłem w moim sercu, w którym jak gdyby rozglądała się uważnie i smutnie. Ja jednak byłem wesoły.

Dlaczego nazajutrz przyszła na to samo miejsce? Dla morza, dla powietrza, czy dla mnie? Nigdy nie pytałem jej o to, chociaż jestem pewien, że ją przywiodła tajemnicza nić, która się między nami sprzędła.

O tyle z położeń i usposobień byliśmy do siebie podobni, że nie potrzebowaliśmy się wzajemnie wyważać z dotychczasowych stanowisk, ażeby się zbliżyć i raczej stawialiśmy, niż usuwali między sobą przeszkody. Po paru tygodniach byliśmy oddzieleni od siebie już tylko własną wolą.

— Czy pani nie męczy ta nasza... nieznajomość?

— Tak, męczy mnie sprzecznością uczuć. Co chwila doznaję wielkiego zadowolenia i silnej trwogi. A pan?

— Ja tylko zadowolenia!

— Jesteś pan i będziesz szczęśliwszym ode mnie.

— Co mam zrobić, ażeby nie posiadał tej przewagi, której sobie wcale nie życzę?

— Rozdmuchnąć tę mgłę, na której się kołyszę, zawieszona w przestrzeni.

— Więc mam się nazwać dokładnie?

— Nie.

Mimo pozornej nieruchomości stosunek nasz rozwijał się i postępował tak szybko, że oboje czuliśmy jego ruch i widzieliśmy przysuwający się moment, który nam każe albo rozbiedz się, albo rzucić się sobie w objęcia. Dreszcze, jakie mi ta myśl sprawiała, uspokoiłem wreszcie śmiałą uwagą: dlaczegożby miłość nie miała się urodzić z ludzi

bezimiennych, którzy zataili przed sobą tajemnice swych książeczek legitymacyjnych? Postanowiłem przyspieszyć akt ostatni.

— Dwa miesiące otwieramy sobie codzien nasze serca i umysły; chyba już możemy postawić przed sobą pytanie: co nas łączy?

Zbladła i opuściła głowę na pierś falującą.

— Mnie czaruje piękność pani, twój wdzięk, twój czysty rozum, twoje gorące uczucia. Ja ciebie kocham — a ty?

— Co się ze mną dzieje!... Nie... niepodobna w takich warunkach... Ulituj się pan nade mną... Zdejmijmy już maski.

— Nie.

— Więc dobrze, kocham cię, kocham jak spełnienie marzeń, jak ukojenie długich tęsknot duszy... Miłość ta oślepia mnie splotem jakichś różnobarwnych błyskawic, odurza chórem upajających głosów a jednocześnie topi w ciemności i rozdziera krzykami. Oddałam jej moją wolę, weź obie i zrób z niemi, co chcesz.

— Przyjdź jutro do parku, tam zamienimy pocałunki zamiast obrączek.

— Przyjdę, a zamtąd zaprowadź mnie nawet w piekło.

Wziąłem ją za rękę i umilkliśmy.

Nagle drgnęła całą postacią.

— Mój mąż!...

Aleją od strony miasta zbliżał się ku nam wysoki, gruby mężczyzna, prowadząc za rękę jej synka. Rude włosy, krótko przycięte, otaczały twarz piegowaną, z dużymi i wysuniętymi naprzód zębami, z obwisłym i zgarbionym nosem. Zdała zawołał (po polsku):

— Jak sze masz, Klarczu... Niespodziewany — co?

Pochwyił ją w kosmate łapy i wycalował.

Wstałem z ławki i bez ukłonu odszedłem. Nie umiałbym sobie wyjaśnić, czy to zrobiłem z polityki, gniewu, czy głupoty. W każdym razie byłem wściekły nie z powodu udaremnionej schadzki, ale skutkiem tego, że zawieszony pod niebem balon, w którym siedzieliśmy zakochani, został brutalnie ściągnięty na ziemię. Tajemnicza zasłona, która otaczała nasze szczęście, przedarła się. Już wiedziałem, że jest mężatką, żydówką polską, pewnie warszawianką. Żydówka? Natychmiast obskoczyła mnie cała gromada przesądów, uprzedzeń, od dzieciństwa nabywanych wstrętów, ohydnych postaci — wszystko to krzyczało, drwiło, sztydziło ze mnie piekielnym chichotem. Uciekam — a ta kocia muzyka za mną.

— Dzień dobry!

Staję — oglądam się. Znajomy warszawski łobuz salonowy.

— Przepraszam, że zatrzymuję... Byłem cierpliwy przez kilka dni i tylko obserwowałem pana. Ale w tej dziurze takie więzienne nudy!... Nie dziwię się, że pan oblegasz Rosenbauchową... Tu ona możliwa, nawet pożądana, bo ładna i smaczna. Najlepszy znawca, nieuprzedzony, nie odczułby w niej cebuli. Udała się? Trzeba zakończyć... W Warszawie niepodobna utrzymywać znajomości z żoną lichwiarza i córką stręczycielki.

Nie powstrzymywałem tych słów, wylatujących z jego ust jak z armaty pękające bomby, które, oświetlwszy mnie na chwilę, rozrywały. Pozwoliłem mu podrzeć moją niewiadomość aż do ostatniego strzępka. Być może, iż ktoś z tych słów padło w jej uszy, bo, odchodząc, spostrzegłem, że niedaleko stała z mężem.

W dwa miesiące przeczytałem doniesienie o jej śmierci.

Kto ją zabił? Choroba, czy ja? Kto nasz związek rozerwał? Straszne, nielitościwe wiemy i smutnym wzrokiem, czy ja? Duchu jej, który mnie ciągle nawiedzasz i patrzysz na mnie swoim smutnym wzrokiem, odpowiedź! Dotąd nie jestem pewien, czy cierpi moje serce, czy też sumienie. Kochałem i chciałem za mało!

Słyszę wołania.

— Panie Jakobie! Panie Czarski! Panie kontrolerze! Mężu! Ojcz!

— Jestem tu — idę, idę!

— Brzmij lesie moimi tytułami, ale milcz o moich myślach i uczuciach.

IV. MOJA GŁOWA

W bogatej spuściznie skłonności i uzdolnień, jaką człowiek, przychodząc na świat, otrzymuje po swych wszystkich przodkach, zdaje się, brak dotąd instynktowego ograniczania swojej swobody. Dziecko ją lubi, może bardziej nawet, nie ci wszyscy, którzy za nią życie poświęcają. Ile ono cierpi przy każdym uderzeniu się o twarde warunek bytu, przy każdym wciśnięciu się w konieczne jego formy!

Zobaczyło w zwierciadle swoją postać — biegnie do niej z uśmiechem i gdy chce pocałować własne odbicie — rozbija kosztowną płytę szklaną. Za szkodę ponosi karę, która mu raz na zawsze zapowiada, że zwierciadeł rozbijać nie wolno nawet dla pocałowania swego obrazu. Ujrzało świeże, rozwinięte w doniczkach kwiaty — zerwało je i przystroiło sobie główkę. Skrzyżowane za to lub otrzepane, dowiaduje się, że kwiatków z doniczek zrywać nie wolno. Chociaż wszakże pozwala nakładać sobie pęta nieodrazu, oswaja się z nimi i usiłuje odzyskać straconą wolność. I ja robiłem to, co zapewne robią wszystkie dzieci: kryłem się w jakiś kąt, jakieś ustronie i tam dogadzałem swoim pragnieniom w przekonaniu, że mnie nikt nie krępuje. Skromne to były pragnienia — kodeks ich nie ograniczał, katechizm nie potępiał, tylko nauczyciel prześladował. Bo cóż naprzykład kodeks albo katechizm mogą mieć przeciwko wykręcaniu na wiosnę fujarek? Nauczyciel, który nie znosił uśmiechu na mojej twarzy i tak skwapliwie uciszał wszelką moją wesołość, jak gdyby cała natura wraz z ludźmi wiecznie spała, a jam ją hałasami budził — ten srogi mistrz surowiej mi zabronił obcinania gałązek z wierzbiny, niż Bóg pierwszym rodzicom owoców z drzewa wiadomości. Zazdrościłem naszemu kozłowi przywileju łożenia po wszystkich wierzbach — ale poddałem się zakazowi.

Razu pewnego, zropaczony i podrażniony ustawicznymi napomnieniami, uciekłem w pole z zamiarem swobodnego udawania głosu sowy, którego mnie pastuszek za dwa jabłka kryjomo nauczył. Lipcowe słońce zlewało na mnie potoki gorących fal, które wsiąkały w odzież, w ciało. Zrzuciłem kapelusz, zrzuciłem zwierzchnie ubranie i, niosąc je w rękę, biegłem — dokąd? Gdziekolwiek, aby tylko poza granicę czujności mojego nauczyciela. Przede mną rozciągał się obszerny łąk zboża. Wszedłem w sam środek niwy i położyłem się wśród wysokiej pszenicy. Cisza — kłosy nawet nie drżą. Czasem zaszeleści konik polny lub zawiśnie na słomie biedronka — zresztą milczenie. Po chwili przesunął się sąsiednią bruzdą sznurek młodych kuropatw, które, spostrzegłszy mnie, pisnęły i znikły. Odtąd już nic nie zakłócało mojego spokoju, a drobne szmery uwydatniały mi tylko głębokość ciszy. Zapatrzone w niebo, którego błękit wybielił się światłem słonecznym, rozmyślałem:

— Jakże ja tu jestem szczęśliwy, swobodny! Ani ten konik polny, ani ta biedronka, ani nikt nie zabroni mi, czego zapragnę! Mogę śmiać się, płakać, uciąć sobie nos, mogę naśladować sowę...

I złożywszy ręce, huknąłem.

Ale w tejże chwili huknął nade mną gruby głos:

— A ty...

Dalszy ciąg tego grzmotu pomijam, gdyż jeśli biografowie moi zechcą ułożyć słownik wymysłów, jakimi mnie przez życie obrzucono, znajdą cały materiał w krytykach pewnej części prasy warszawskiej i nie będą potrzebowali badać, czym mnie uraczył ekonom folwarku, do którego należała pszenica.

Wróciłem do domu. Stojąc pod szluzą lającej rozgniewanego nauczyciela, czułem jeden tylko smutek: stratę kotliny w zbożu, którą uważałem za schronisko wolności.

Szukałem później podobnych schronisk nieraz i tem usilniej, że z wiekiem ścieśniała mi się ciągle przestrzeń swobody. Jak wszyscy ucywilizowani członkowie mojego rodzaju, zostałem pomalutką niewolnikiem: krochmalonych kołnierzyków, krawata, dobrego tonu, grzecznego kłamstwa, tradycyjnego obyczaju i innych praw, na których „się opiera ustrój społeczeństwa”. Każdy dzień, niemal każda godzina wydzieraa mi jakąś część woli. Daremnie wieczorem zamyślałem się w moim pokoiku i, chodząc po nim, usiłowałem odzyskać stratę — mieszkający na niższym piętrze gospodarz poprosił mnie przez stróża, ażebym przerwał te nocne spacerki, które mu spać nie dają. Na uczęszczanych ulicach zastępował mi drogę żebrak, na bezludnych rzeźmieszek, w mieście najeżdżał mnie pędzący powóz, za miastem gonił pies, a wszędzie nie opuszczały zwyczaje i przepisy, które tamo-

wały wszelki mój krok. Kiedyś w ogrodzie publicznym dla ochłodzenia czoła zsunąłem na tył głowy kapelusz.

— To zapalony kankanista — szepnęła jakaś strojna dama do swego towarzysza.

Zatęskniłem do innych krajów, które znałem z opisów i opowiadań jako dziedziny ziemi obiecanej. Wyjechałem za granicę. Na komorze splądrowano mój kuferek, ale nie zapytano o paszport. W pierwszym wszakże hotelu musiałem na blankiecie policyjnym opisać się ze wszystkich stron.

W Pradze czeskiej wziąłem z kolei na plecy tłómaczek dla przekonania się, czy tam wolno zrobić takie nadużycie pożądnemu człowiekowi. Z przyjemnością zauważyłem, że nikt mnie palcem nie wytyka i nie szydzi, że żaden reporter nie wypisuje sobie tego „wypadku” ku zabawie swoich czytelników. Położyłem kuferek i usiadłem na nim. Nikt nie stanął przede mną zdumiony lub rozśmieszony. W hotelu obejrzano mnie starannie, ale dano pokój.

— Śliczne miasto! — pomyślałem. Nazajutrz zagadnąłem kogoś z przechodniów po czesku. Odburknął i poszedł dalej. Zagadnąłem drugiego po niemiecku — kolnął mnie wzgardliwym spojrzeniem i także poszedł.

Ha, i tu nie raj, i tu wola człowieka podskubana!

Trzeba jechać dalej!

Na jednej stacji szląskiej musiałem kilka godzin czekać następnego pociągu. Było święto — przed dworcem stała gromadka chłopców. Zbliżyłem się do nich, a słysząc ich utyskiwania na gwałty w szkole i kościele, zacząłem radzić im środki obrony. W chwili największego zapalu uczulem na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłem się i ujrzałem barczystego męża w mundurowej czapce.

— Pan zkąd? — zapytał.

— Z Warszawy.

— Paszport pan posiada?

Pokazałem.

— Pan tu przybył podburzać obcych poddanych przeciwko rządowi? Paragraf 42 ustawy...

Jak tę ustawę nazwał i co mi zacytował, powtórzyć nie umiem, dość, że ledwie zdołałem wysliznąć się paragrafowi 42 i tego dnia wyjechać z miejsca mojej bezwiednej agitacji.

Nie będę tu wyliczał wszystkich rozczarowań, jakie mnie nawiedzały zagranicą. Podarły się w nich pierwotne złudzenia i pod tymi poszarpanymi żaglami przypląnąłem nazad do kraju.

Więc niema na kuli ziemskiej takiego kącika, takiej krainy, w której by człowiek mógł zachować całą swoją wolę, być zupełnie sobą? Gdy mnie najmocniej osłaniał cień tej zagadki, błysnęła przede mną myśl, która oświeciła jaskrawo moją naiwność: przecież owa pożądana kraina jest, jest bliżej, niż wszystkie inne, w niej posiadasz nietknięte wszystkie prawa, unieważnione wszystkie zakazy, tam tylko panuje taki kącik... Gdzie?

W mojej głowie.

Czemu tak późno zrobiłem to odkrycie? Wszakże głowę miałem zawsze z sobą, nawet wtedy, gdy mnie ekonom wypędzał z pszenicy lub przedstawiciel władzy ze stacji szląskiej? Prawdopodobnie nieporozumienie wypłynęło ztąd, że moja głowa długo nie była usamowoloną i że w niej przedtem panował jakiś nietolerancyjny rząd i zbyt srogie obyczaje. Zresztą kwestya ta mało mnie obchodziła wobec rozkoszy, jakiej zacząłem używać i dotychczas używam. Znalazłem na świecie maleńki zakątek, w którym mogę ciągle przebywać i który mi zapewnia wszelkie warunki osobistej swobody.

Od tej chwili obojętne są dla mnie wszelkie systemy polityczne, wszelkie nakazy i zakazy, wszelka prawomyślność i prawowierność.

Jeżeli skutkiem braku wizy konsularnej na paszporcie prusacy zatrzymają mnie w Otłoczynie, to mi wcale nie przeszkadza myślą przetrzucić się do Paryża i osądzić ich na zatrącenie. Gdybym dziś musiał słuchać paragrafu 42 ustawy o podżegaczach, odpowiedziałbym na nią w duchu:

— Gardzę tem podłem głupstwem i tobą, nadęty prusaku. Zaaresztujesz mnie niewinnie — ja cię kopnę zaszucenie.

Bo przecie chociażby on mnie związał i wsadził do kozy, nie skrępowalby i nie uwięził mojej myśli, nie zawiesiłby swobód mojej głowy, gdzie jestem jedynym panem własnej woli.

Tak samo zachowuję ją we wszystkich innych wypadkach. Siła może mi nakazać: zrób to — i zrobię, ale żadna nie może mnie ubłagać, ażebym coś uznał, czego uznać nie chcę. W mojej głowie wypowiadam głośno i szczerze istotne przekonania i uczucia, chodzę bez krawata i krochmalonych kołnierzyków, sądzę ludzi i rzeczy bez obłudy. Przymus tam żaden nie istnieje — niepotrzebny. Ach, ilu i jakich doznaję wtedy przyjemności!

— Co za miła i ukształcona panienka — szepcze ktoś w salonie.

— Niewątpliwie — podpowiadam jako niewolnik grzeczności.

Ale natychmiast cofam się do mojej głowy i mówię sobie głośno:

— Po co ta poczwara tak uwydatnia swój mdły sentymentalizm, zwracający uwagę na jej brzydotę?

Ktoś inny zaznacza, że druga, obok siedząca kobieta zbyt często się śmieje.

I to spostrzeżenie potwierdzam, a w głowie mojej wyznaję:

— Cudowne stworzenie! Takie usta całować!

— Człowiek, z którym pana przed chwilą poznałam — dodaje cicho gospodyni domu — jest tak rzadką inteligencją, że, pomimo siwych jego włosów, kobiety przepadają za nim.

— Zauważyłem to — oświadczam i zaraz wołam w mojej głowie:

— Ten roznosiciel zdawkowych grzeczności, ten organista w nabożeństwie babskich próżności, ten stary dworak, który pragnie ogrzać swe ciało przy młodych kobietach, jak przy płonącym kominku, ma być rzadką inteligencją? Ha, ha, ha!

Posiadam stosunki w „literaturze”. Zaśmieca ją swemi robotami pewien autor, który procesuje się ciągle z krytyką o niewypłacanie mu należnej sławy. Wlewa on i do moich uczuć swoje żale.

— Albo, proszę pana — mówi zwykle — ostatnia moja nowelka... Czy ona jest gorszą od najbardziej przechwalonych? Tymczasem nikt ani piśnie — tylko każdy jak pies warczy i zęby wyszczerza. Gdyby człowiek w sobie nie czerpał zachęty, złamałby już dawno pióro i plunął na te intrygi.

Nie żałuję mu współczucia, ale zamknięty w mojej głowie, wzdycham:

— Niema jednak nadziei, ażeby ten barłóg literatury przestał czerpać zachętę z siebie.

Słowo publiczne tylko do pewnego stopnia dopuszcza otwartość oraz nazywanie rzeczy i osób po imieniu. Dlatego często musimy milczeć lub półsłówkami zdradzać nasz gniew, oburzenie, wzdarcie wobec najohydniejszych widoków. Chodzi po świecie, okadzany szacunkiem, jakiś łotr, prosty złodziej, krzywdziciel — trzeba mu ustępować z drogi, bo inaczej odwoła się do sądu państwa lub opinii publicznej i zdobędzie palmę męczeńską. Zwłaszcza śmierć jest ową królewską wodą, rozpuszczającą najtrwalsze grzechy. Umarł — to znaczy był uczciwym i zasłużonym. Przypomnę jego winy? Nie wolno. Dopiero w głowie mojej mogę mu wrzucić wszystkie brudy do trumny.

Inny szubrawiec, o tyle głupi, o ile zuchwały, a o tyle nikczemny, o ile surowy, piorunuje z ambony jakiegoś pisma lub zakłada sobie w nim kram ze szkaplerzami literackimi; mamże obwołać go po świecie właściwymi tytułami? Nie wypada. Zato w głowie mojej rozpalam hańbiące piętno i przykładam je do wytartego bezwstydem czoła przestępcy.

Jak widzisz czytelniku, posiadam rzeczywiście kraik, którego jestem nieograniczonym panem, gdzie korzystam z bezwzględnej swobody, dokąd nie zdoła przedostać się żadna obca siła, żaden nakaz, żaden przymus. Czego pragnę — to mam, co chcę, to robię, co wyznaję — to głoszę. A pomimo że wola moja nie ulega tam skrępowaniu, nikomu nie szkodzi. To moje królestwo bowiem jest odcięte od reszty świata, wyosobnione, opasane nieprzebytym murem, nie wiąże się z innymi, nie wkracza w ich prawa.

Gdy czasem przypadek otworzy naościę moją głowę i wpuści do jej wnętrza ciekawe oczy, słyszę natychmiast okrzyk:

— Straże! Spuścić z łańcuchów brytany!

Uśmiecham się wtedy i zamykam moją głowę. Czy sądzisz czytelniku, że tylko moja być może takim swobodnym schroniskiem? Urządź odpowiednio swoją, a będziesz w niej żył również wygodnie. Powinieneś zaś to zrobić, gdyż głowa jest dziś jedynym przybytkiem szczerzej woli.

V. KLUB SZACHISTÓW

I

Wszystkie te opisy — zauważył prezes — zdradzają zbyt widocznie podstęp. Idea naszego stowarzyszenia zaczęła już przesiąkać na zewnątrz, przez tajemnicę... Coraz mniej ludzie wierzą, iż tworzymy klub szachowy i usiłują przeniknąć do prawdy. Ci panowie, których spowiedzie poznaliśmy przed chwilą, skłamali je albo w całości, albo w znacznej części, aby tylko wkraść się między nas i zużytkować niegodnie nasze materyały.

— Nawet przypuściwszy, że te wyznania są szczerze — odezwał się jeden z członków — nie dają one nam żadnej wartości psychologicznej. Bo chociażby naprzykład autor życiorysu, opatrzonego godłem: „Lisia skóra”, rzeczywiście okpiwał swoją siostrę w grze kręglowej lub udając chorego, wdziewał włosienicę, ażeby ją dostrzegła pobożna ciotka, to czyż on pod groźą ujawnienia tych faktów cofnie się przed niedyskrecją? Zresztą powinniśmy przesiewać materyał i zbierać tylko grubszy, gdyż inaczej nagromadzi nam się kupa zwyczajnego piasku, z którego nauka nie wyciągnie żadnej korzyści.

— Oba zaznaczone tu względy — rzekł prezes — są tak ważne, że nie możemy ich ani chwili tracić z uwagi i musimy czynić wszystko, co tylko zabezpieczyć zdoła interes członków stowarzyszenia i jego cel. Jestem bogaty, nie posiadam ani rodziny, ani związków, od których byłbym zależny, więc w najgorszym wypadku grozi mi może tylko chwilowa przykrość. Inna sprawa z wami. Gdyby jakikolwiek nicpoń odkrył tajemnicę waszego życia...

Z kilkunastu ust dobył się okrzyk zgrozy i przerażenia, na niektórych twarzach malowała się rozpacz, a w niejednej duszy zadrgnął żal za utraconym spokojem.

— Ja dostałbym się między dwa zębate koła — zawołał tęgi brunet, który mógłby barkami most podierać. Żona, która wie, że jej posag stanowi podstawę mojego bytu i że do żadnej pracy nie jestem zdolny, wraz ze swą matką poddały by mnie torturze. A jeżeli jedna zła żona i jedna zła teściowa wyrównują okrucieństwu miliona dyabłów, to dwie złe żydówki w tych rolach przewyższają całe piekło.

— W potrzebie ty mógłbyś przenosić rzeźnikom ćwiertowane woły — szepnął niski blondyn z cerą i postacią wyssanego szparaga — ale co ja bym zrobił, gdyby mi moja piekarka wypowiedziała miejsce męża? Wątpię nawet, czy wypuściłaby mnie gładko. W koronkach i brylantach, sprawiając rozkosz zwierciadłu, w którym odbija się jej elegancka figura, woła do mnie: przypatrz się, wymoczku, jaką masz żonę! — przyczem rzuca w górę zaciśniętą pięść. Możecie sobie wyobrazić, jaki ona zrobiłaby z tego kulaka użytek przy rozstaniu.

— Nędza, pięść, kij, sztylet, dyable pazury — wszystko to są żądla i ukłucia komarów w porównaniu ze straszną chłostą, przez jaką przepuszcza mężczyznę kobiecy język — mówił siwawy i podmarszczony męczennik. Nie znam okrutniejszego narzędzia i bardziej morderczej broni. Może ocaliłbym jakąś odrobinę odwagi wobec lwa, bandyty, orkanu; ale gdy moja żona zacznie mówić, truchleję, jak pisklę. Najcięższe plagi wlewają otuchę nadzieją, że się kiedyś skończą, a jej gadanie nie kończy się nigdy. Chociaż Noe wiedział o gniewie i mściwości Jehowy, wypuścił z arki gołębicę dla przekonania się, czy wody potopu nie opadły, bo nie wątpił, że Bóg-mężczyzna kiedyś karać przestanie. Tymczasem potop słów mojej żony trwa już od ćwierti wieku i tak zalewa wszystko koło mnie, że nawet koliber nie znalazłby miejsca na odpoczynek, a już o gałązce oliwnej nie ma co wspominać. Artretyzm, ból zębów, rak, astma, wszystkie choroby dają swym ofiarom przerwy wytchnienia, tylko język kobiecy nie ustąpi ani chwili. Nie to mnie przeraża, że moja żona mogłaby się czegoś dowiedzieć, ale to, że uzyskałaby przyływ do olbrzymiego potoku swej mowy. Na litość, bądźmy ostrożni!

— O, bądźmy ostrożni w przyjmowaniu nowych członków — powtórzył wysoki, nigdy piękny, a obecnie strawiony jakimś długotrwałym cierpieniem mężczyzna. Mniejsza o nasze niebezpieczeństwo osobiste, ale nie powinniśmy niszczyć szczęścia innych ludzi, jakkolwiek ono powstało. Z mojej spowiedzi wiadomo wam, że córka moja została jako panna matką z nikczemnikiem, który ją porzucił i że ukrywając ten wypadek, wydałem ją za syna najserdeczniejszego przyjaciela. Otóż małżeństwo to jest pod każdym względem szczęśliwe: on ją kocha i wierzy w jej niepokalanie, ona go ubóstwia, mają dwoje

prześlicznych dzieci, którym swe serca poświęcili... Pojmujecie łatwo, co by się stało z tą rodziną po odsłonięciu przeszłości mojej córki.

— Tak, tak — wtrącił barczysty brunet — to równałoby się niemal rozprawie z bogatą żydówką.

— Lub z gadatliwą żoną — dodał jego sąsiad.

— Wolałbym jednak wszystkie te katastrofy — rzekł ze spokojnym naciskiem chudy, zwiędły i starannie wygolony człowieczek — niż stanąć pod publicznym pręgierzem po odkryciu, że się używa skradzionego majątku. Chociaż oszustwo popełnił mój ojciec, ale jego hańbą napiętnowanoby czoło syna, który wie o tem, czemu zawdzięcza swoje bogactwo.

Podczas tej wymiany obaw twarze obecnych wykrzywiły się cierpieniem, do którego przyczepiały się i natychmiast odpadały sztuczne uśmiechy. Powoli nad innymi uczuciami zapanował gorzki smutek, który wbijał w każdą duszę podwójne szpony. Pod wpływem bowiem rozmowy nietylko zbudziły się i szarpać ją zaczęły uspięne wspomnienia, ale uświadomiła się jasno ta pewność, że nikt nie był wyłącznym posiadaczem i stróżem swej bolesnej tajemnicy, lecz powierzył ją innym, którzy przez nieostrożność lub złą wolę oddać ją mogli na łup całemu światu. Wprawdzie każdy, wstępując do klubu, oswoił się z tą myślą i przewidywał możliwe następstwa swych wyznań, ale teraz dopiero ocenił ich wagę, gdy już nie był w stanie ich cofnąć i gdy widział podstępne zamiary osób obcych, pragnących zdjąć ze stowarzyszenia jego maskę. Odgadli to pognębienie swych towarzyszy dwaj ludzie, z których jeden był głównym twórcą klubu szachistów, a drugi jego przewodnikiem.

— Sądzę — odezwał się prezes — że kilkoletnie trwanie naszej instytucji, w którym wypróbowała się należycie niezachwiana niczem szczerłość i dyskrecja wszystkich członków, powinno zupełnie usunąć trwogę, o ile pozostaniemy w dotychczasowym składzie. Każdy z nas tylko powiększył swoją istotę, stanowimy razem jedną, ściśle spojona całość. Zresztą, jak wicie, posiadamy w naszej organizacji dostateczne wędzidło przeciwko nieposzanowaniu tajemnicy. Dziś dbać powinniśmy tylko o to, ażeby nie wpuścić do siebie zdrajcy, którego tem wędzidłem nie moglibyśmy okiełznać.

— Zamknijmy klub dla nowych członków — zawołało kilka głosów.

— Jeżeli tego żądacie — oświadczył prezes — godzę się.

— A ja nie — powiedział stanowczo wysoki, szczupły mężczyzna z bladą, rzadkim czarnym porostem obrzuconą twarzą, którego hakowaty nos wyrażał energię, a wązkie i zaciśnięte wargi — upór. Gdy odezwał się, z po za okularów błysnął mu ogień.

— Dlaczego? — spytano ze wszech stron.

— Naprzód dlatego, że jeżeli nasze stowarzyszenie założyliśmy nie dla bezmyślnego przyglądania się sobie, lecz dla nauki, to musimy się starać o jak najobfitsze zebranie dla niej materiału.

— Mamy go już dosyć.

— Ona nie zna: dosyć.

— W takim razie nigdy nie skończymy tej pracy.

— A przynajmniej nie dziś. Powtóre...

— Nie chcemy, nie chcemy! — wołano namiętnie.

— Powtóre — mówił nieustraszony oponent — przedstawię wam kandydata, który odpowiada wszystkim warunkom naszego stowarzyszenia i dostarczy naszym badaniom nadzwyczaj ciekawych faktów.

— Kto taki?

— Zgodnie z regulaminem, nazwiska jego nie wymienię, dopóki nie zostanie przyjęty do naszego klubu. Jest to człowiek, któremu przyznano najzaszczytniejsze tytuły ideału, a on sam nazywa się wielorakim łotrem. Czy wysłuchacie jego własnoręcznie spisanej biografii, którą złożył w moje ręce?

Jednych ogarnęła ciekawość, w drugich wstąpiła odwaga.

— Czytaj! — zawołali wszyscy.

Naprzód muszę wam dać kilka słów objaśnienia. Miałem serdecznego przyjaciela, który — jak sądzą — otwierał przede mną swoją duszę naościę i nie zakrywał w niej najwstydlivszej tajemnicy. On to właściwie nasunął mi myśl założenia naszego towarzystwa. Umierając, pozostawił syna, którego powierzył mojej opiece. Chłopiec rozwinął się

pięknie, wyrobił sobie umysł tęgi, a charakter brylantowej czystości. Powszechnie twierdzono, że do niego najmniejsze zło nie zdoła się przyczepić, ojcowie i matki stawiali go jako wzór już nie swoim synom, ale córkom; posiadał bowiem naturalny smak w cnocie i wrodzony wstręt do występku. Nie potrzebował żadnego wysiłku, ażeby być dobrym, a musiałby zadać sobie najgwałtowniejszy przymus, ażeby popełnić coś złego. Otoż ten młodzieniec przychodzi do mnie przed paru dniami i oświadcza, że pomimo największych starań nie może być uczciwym, że obciążył już swoje sumienie wielkiem brzemieniem grzechów, które go rozgniata i do rozpaczyny przyprowadza. Dręczą go niemiłosiernie dwie zgryzoty: jedna — że nie jest takim, jakim być pragnie, druga — że jest w gruncie rzeczy innym, niż wszyscy mniemają. Na dowód wypowiadał mi się szczerze z kilkunastu lat swego życia. Rzeczywiście, dopuścił się mnóstwa wykroczeń przeciw moralności, a nawet prawu, o które nigdy bym go nie posądził. Ponieważ żądał ode mnie pomocy, więc poradziłem mu, ażeby wstąpił do naszego towarzystwa i spisał swoje zeznanie, które wam przedstawię.

I zaczął czytać spowiedź długą i ciekawą. Widać z niej było zarówno szczerść, jak bezsilne pasowanie się duszy, która pragnie być czystą, a ciągle albo okurza się pyłem drobnych brzydactw, albo nawet wpada w moralne błoto. Zwłaszcza niektóre ustępy były bardzo wymowne.

— U ciotki mojej służyła śliczna dziewczyna z tragiczną przeszłością. Jej matka podczas nieobecności męża, który powędrował w świat z sitami, uległa gwałtowi kilku żołnierzy. Zataiła ten wypadek, ale gdy uczuła jego skutki, pod wpływem moralnego cierpienia i obawy przed mężem, który ją bardzo kochał, a nieprędko miał wrócić, dostała rozstroju umysłowego. Całymi dniami siedziała w niemem pognębieniu, a gdy urodziło się jej dziecko, chodziła z niem po drogach, poszukując „ojców”, którzy mieli od niej odebrać swą własność. Nareszcie ciotka moja, mieszkająca w sąsiedniej wsi, ulitowała się nad biedną kobietą, która zresztą już nigdy nie odzyskała zmysłów, zwłaszcza iż mąż się zabił — i wzięła na wychowanie dziewczynkę. Wiedząc o tem wszystkim, byłem dla niej ojcowisko czuły i zdawało mi się, że raczej targnąłbym się na świętość, niż na ten owoc nieszczęścia, na tę żywą skargę przeciw zbrodni. Upłynęło lat kilka i nareszcie, dzięki tej mojej czułości, odnawianej podczas corocznych przyjazdów do ciotki na wakacje, dziewczyna miała zostać matką. Przysięgam z całą szczerścią, że tego nie chciałem, że w przeddzień mojej winy byłbym się oburzył na samą myśl o niej, że jakiś szatan, tkwiący w moim organizmie, porwał mnie przemocą i unurzał w grzechu, że ani na chwilę nie straciłem świadomości sromoty mojego czynu, że spełniwszy go, byłbym się zgodził na pokutę w ciele najnędniejszego zwierzęcia, aby tylko on nie istniał i pamięć o nim znikła. Opluwałem swoją duszę, sumienie, wolę, krew, nerwy, nie widziałem wokoło ani jednej tak podlej istoty, któraby nie miała prawa spojrzeć na mnie ze wzgardą. Wszystkie rozmyślenia nie doprowadziły mnie do żadnej drogi wyjścia. Postanowiłem więc uciec z miejsca występku i od mojej ofiary w dziecinnym złudzeniu, że ona wynajdzie jakiś ratunek, albo też że czyjaś nieznana ręka rozplącze ten przeklęty węzeł. Rozcięła go, ale dziewczyna, która przepadła bez wieści, kryjąc nietylko swoją, ale moją hańbę. Kiedy mi o niej wspomniała ciotka, dodała z odrazą: „poleciała pewnie do swych ojców, kanalia!” Ja milczałem i nie obroniłem jej ani słowem.

Inny ustęp.

— Po śmierci ojca zostało nas dzieci czworo — wszyscy pełnoletni. Ponieważ byłem najstarszy, a przytem używałem sławy człowieka nieskazitelnego, więc dwaj młodzi bracia i siostra zgodzili się na mój podział majątku. Należały do niego, oprócz gotówki, dwie nieruchomości i sumy hypoteczne. Rozpocząłem rachunek bardzo sumiennie, ale w dalszym jego ciągu powoli coraz bardziej obniżałem nominalną wartość mojej części, a przeceniałem działy rodzeństwa. Ostatecznie przyznałem sobie znacznie więcej, niż mi się należało. Zrobiłem to również bez uprzedniego zamiaru skrzywdzenia rodzeństwa, nie tracąc ani świadomości postąpienia źle, ani chęci postąpienia dobrze.

Jaka siła zwalczała wszystkie skrupuły i zmusiła mnie do niecnoty? Nie umiem jej nazwać.

Inny ustęp:

— Raz przyszedł do mnie kolega szkolny, z którym pozostawałem niegdyś w serdecznych stosunkach, prosząc o pomoc w zdobyciu jakiejś posady. Był to nędzacz, wysmaga-

ny przez los, nieumiejący wielkim rozumem i uczciwością zabezpieczyć się przeciw jego poniewierce. Rzeczywiście, kilku wpływowym znajomym poleciłem biedaka, ale ci nie chcieli, czy nie mogli dać mu pracy. Wkrótce pewna instytucja zaofiarowała mi zyskową synekurę, którą przyjąłem. W tej chwili stanął mi przed oczami mój kolega z wychudzoną twarzą i wytartym ubraniem. On na to stanowisko niewłaściwy — powiedziałem sobie, a mówiąc to, pojmowałem jasno niegodziwość tego wykrętu. Nie cofnąłem się jednak — i co mnie powstrzymało? Jaka piekielna moc mną rządzi? Woli, niezłomnej woli!

Inny ustęp:

— Wychodząc z banku, znalazłem na schodach jakąś paczkę. Schowałem ją do kieszeni i otworzyłem dopiero w domu. Zawierała 12.000 rs. Pierwszym wrażeniem przy tym odkryciu była radość z posiadania tak znacznej sumy. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że jest ona cudzą własnością, którą powinienem oddać. Komu? To przekonanie, że owego kogoś nie znam, że on o zwrot pieniędzy nie upomina się, sprawiało mi dziwną przyjemność. Zacząłem snuć przypuszczenia, które ją powiększały: suma ta mogła należeć do banku, który o swej stracie zamilczy; do cudzoziemca, który wyjedzie za granicę, zwątpiwszy o możliwości odzyskania zguby; do prostaka, który nie wie nic o sposobach publicznego poszukiwania jej itd. Kilkakrotnie szepnęła mi natrętna myśl, że powinienem zrobić ogłoszenie w pismach, ale ją odegnałem. Dlaczego ja mam się tem trudzić? Czyż tego nie powinien zrobić sam poszkodowany? Uwolniłem się wszakże od obowiązku czytania we wszystkich gazetach. To jest niepodobieństwem — rzekłem sobie — dość gdy przeglądać będę dziennik najbardziej rozpowszechniony. Ale przez trzy dni wcale nie zajrzałem do inseratów, odczytując jedynie tekst i to bardzo ostrożnie. Czwartego dnia uczułem niepokój w sumieniu, postanowiłem więc odczytać ogłoszenia w piśmie najbardziej niemi zapełnionem. Ani wzmianki o zgubie! Śmiało biorę do ręki inne gazety — to samo milczenie. Albo moje przypuszczenia były trafne — pomyślałem sobie — albo ogłoszenie pomieszczono w numerach poprzednich. Nie chciało mi się ich odszukiwać w porzuconych papierach. Upłynęły dwa miesiące, podczas których oswoiłem się ze znaną sumą, jako moją. Dyrektorowi banku wyprawiono ucztę jubileuszową, na którą i ja otrzymałem zaproszenie. Przy kolacy pewien podpity przemysłowiec w głośniejszej rozmowie zaczął bardzo wzgardliwie odzywać się o instynktach ludzkich. „Sam pan w to nie wierzysz” — zauważył mu jubilat. — Nie wierzę! — zawołał fabrykant. Dam panu dowód: przed dwoma miesiącami zgubiłem w waszym banku 12.000 rs. i nie zrobiłem o tem najmniejszego ogłoszenia, gdyż nie chciałem, ażeby znalazca, wzięwszy moje pieniądze, jeszcze w dodatku uśmiechnął się złośliwie z mojej głupiej nadziei, że on mi je zwróci”.

Argument był silny.

— A właśnie, że je zwrócę, skoro wiem, że do pana należą — rzekłem uroczyście.

Zdumione oczy obecnych zwróciły się na mnie.

— Pan je znalazłeś? — spytał fabrykant zmieszany.

— Tak.

— A dlaczego pan nie ogłosiłeś?

— Bo uważałem, że był to interes i obowiązek właściciela, tem bardziej, że mógł się ktoś inny do nich przyznać.

Wypowiedziałem ten frazes z takim przekonaniem, jak gdyby on wyszedł z poważnego namysłu i prawego sumienia. Naturalnie pesymista odwołał zaraz swoje zniewagi przeciw naturze ludzkiej, a nazajutrz we wszystkich pismach brzmiała sława mojej uczciwości. A ja, słuchając jej, znowu plućem w siebie.

Gdy zastępca bezimiennego autora skończył czytanie, zapytał członków klubu:

— Czy przyjmiecie go?

— Przyjmiemy — oświadczyli jednogłośnie.

— Nazywa się Wacław Urbin.

— Urbin? — powtórzył z najwyższem zdziwieniem prezes stowarzyszenia.

2

Przyjęcie Urbina do klubu było wypadkiem bardzo ciężkim. Naprzód stowarzyszenie zawiązało się niemal odrazu w obecnym składzie jako kółko przyjacielskie, z ludzi dobrze

wzajem znajomych, i właściwie dotąd nie wprowadziło żadnego nowego członka. Potwóre, zaznaczone na poprzednim posiedzeniu niebezpieczeństwo zdrady tajemnic i dostrzeżone próby w tym kierunku rzuciły popłoch. Potrzebie, dopuszczenie jeszcze jednego człowieka do znajomości sekretnych wyznań przejmowało każdego, jeśli nie strachem, to niechęcią. Wszyscy oni bowiem, zakładając klub, mieli dość odwagi do szczerego otwarcia przed sobą swych dusz, ale gdy pierwszy zapal ochłódł, gdy owe spowiedzie, własnoręcznie spisane, spoczywały w skrzyni, z kąd mogły być skradzione i złośliwie zużytkowane, gdy do nich teraz dano swobodny dostęp członkowi nowemu, niemiłe dreszcze obiegły szachistów. Nadto dołączyła się jeszcze jedna okoliczność: Urbin nie był im obcy; wszyscy pozostawali z nim w dalszych lub bliższych stosunkach i wszyscy — jak tego wymaga życie — grali przed nim komedię, którą on teraz miał przejrzeć z za kulis. A i on sam uległ bardzo naturalnej febrze: w pierwszym uniesieniu odsłonił swe życie przyjacielowi, ale skoro nadeszła chwila ukazania całej jego nagości innym, którzy dotychczas patrzyli na niego z szacunkiem, a nawet podziwem — uczuł gorąco wstydu. Niepodobna wszakże było cofnąć się — i Urbin przybył na zebranie klubu.

Był to mężczyzna trzydziestoletni, a tak chudy, że prawie znikły mu mięśnie. Z twarzy, ocienionej brunatnymi włosami i jaśniejszym zarostem, bił jakiś namiętny ascetyzm. Piwne oczy gorzały mu mocno, a na ustach ważył się wyraz wielkiego znużenia, czy też bóleści. Można by go nazwać przystojnym, gdyby nie był zbyt chudym i zbyt długim. Za długą miał twarz, za długi nos, brodę, całą wreszcie postać.

Prezes powitał go życzliwie i ośmielająco.

— Jeżeli uroczyste przysięgi ludzkie w poważnych przedsięwzięciach mogą mieć jakąś moc, to ma ją nasza, którą zobowiązujemy się przed tobą — od chwili wstąpienia do klubu przestajemy być dla siebie panami — że ani jedno słowo twojej spowiedzi nigdy nie wyjdzie po za nasze myśli. Nawzajem ty nam przysiężesz, że pozostaniesz niemym dla świata co do tajemnic naszych, które masz prawo poznać. W tej skrzyni leżą spisane nasze wyznania, które wolno ci odczytać. Artykuł 15 statutu zastrzega, że gdyby którykolwiek z członków zdradził najdrobniejszą cząstkę sekretów stowarzyszenia, inni ogłaszają publicznie, w sposób przez się wybrany, jego własnoręcznie spisane zeznanie wraz z dodatkiem ustnych objaśnień. Dotychczas nie potrzebowaliśmy używać tej broni i zapewne jej nie użyjemy. Nie uznajemy bowiem żadnego z naszych towarzyszy zdolnym do popełnienia takiej niecnoty, zwłaszcza że ona nietylko naraziłaby honor wielu ludzi, ale zniszczyłaby pożyteczną instytucję. Nazwaliśmy ją klubem szachistów dlatego, ażeby zakryć przed tłumem rzeczywisty nasz cel i tem swobodniej mózdz pracować. Cel ten zaś polega na zebraniu ze szczerych spowiedzi członków materiału psychologicznego, któryby nam pozwolił rozświetlić trudną i powikłaną zagadkę prawie powszechnej dwoistości, a nieraz wielolicości natury człowieka. Nie będę ci tłumaczył tego szczegółowo, bo sam to rozumiałeś w swoim życiorysie. Nie przyniósłeś z sobą na świat żadnych złych skłonności, pragnąłeś być uczciwym i mimo to dopuściłeś się szeregu czynów, do których sam czujesz wstręt moralny. W podobnym położeniu znajdujemy się wszyscy. Otóż staje przed nami ciekawe pytanie psychologiczne: czy przyczyna tych zbroczeń tkwi w naszej organizacji, czy w jakiejś osobnej chorobie woli, czy w warunkach życia? Na pytanie to nie można dać odpowiedzi inaczej, tylko po zbadaniu rzetelnych, żadną obłudą lub skrupułami niesfałszowanych spowiedzi dusz, które umieją się obserwować. Gdy zgromadzimy wystarczający materiał, jeden z nas przerobi go na dzieło naukowe.

— I mnie — rzekł Urbin — oddawna zajmowała ta kwestya, chociaż nie wpadłem na właściwą drogę jej rozwiązania. Rzeczywiście wasz pomysł jest najlepszy i może jedyny. Co zaś do mojej osoby, zdaje mi się, że ten materiał pomnożę bardzo obficie. Zawsze usiłowałem być jednolitym i uczciwym, ale dziś ta chęć stała się we mnie manią, pragnieniem, górującem ponad wszystkimi innymi. Mimo wszakże tego pragnienia, mimo bóleści, jaką uczuвам po tyłokrotnem przeniewierzeniu się mu, z doświadczeń przeszłych i ze znajomości natury swojej wnoszę, że nie osiągnę nigdy celu i że ciągle dopuszczać się będę rozmaitych obrzydliwości moralnych. Jestem też bezmiernie nieszczęśliwym, gdy myślę, że dojdę do kresu życia ze wzgardą dla siebie.

Dotychczas ani razu nie panował w klubie szachistów tak tragiczny nastrój. Jego członkowie mieli istotnie poważne zamiary, ale przykre uczucia starali się od czasu do

czasu osłabiać rezygnacją. — Cóż robić, kiedy tacy jesteście! — powtarzali. Urbin wypląsał tę pociechę.

— Nie chodzi mi tu wcale o obłudę — mówił z coraz większym przygnębieniem. Może ona być niesympatyczną, nawet szkodliwą, ale nie jest ani głupią, ani nieuleczalną. Wszystkie istoty, które prowadzą walkę o byt, muszą być obłudne. Jeżeli ptak, przytulwszy się do drzewa, naśladuje kawałek jego kory, ażeby się obronić przed nieprzyjacielem, lub udaje martwego, to go rozumiem i ganić nie mogę. Jeżeli ktoś gra rolę mojego przyjaciela, ażeby mnie oszukać, to również go rozumiem, chociaż ganię. To są czyny świadomie zamierzone i wypływające z woli. Najpodlejszy występki, dokonany w zgodzie z nią, sprawia mi mniejszą odrazę, niż najmniejsze wykroczenie wbrew chęci. Bo czyż to nie oburza, że ja, człowiek ukształcony, rozważny, szczerze pragnący dobra, nie mam tak marnej siły, jakiej potrzeba dla powstrzymania się od kroku, na który przedtem się wstrząsam? Nie zmusza mnie do niego ani gwałtowna żądza, ani interes, ani rachuba, nic — a jednak z całą moją wiedzą i zasadami moralnymi włożę w jakieś błotko, które mi cuchnie. Parę kieliszków alkoholu, często tylko dobry humor i pustota lub leniwość w zwalczaniu pokusy — i ot z idealisty robi się zwyczajny prosiak. W tej chwili rozprawię o tej ohydzie, czuję w duszy jej niesmak, piętnuję się i chłosczyć za nią, a za godzinę wyjdę ztąd, ponętna kobietka otrze się o mnie — i cała mądrość, cała skrucza pryśnie, jak bańka mydlana. Czy to nie głupie, nie podłe i nie rozpaczliwe?

— Wychowanie — prawil dalej — i wszystkie późniejsze wpływy uszlachetniające starają się o to tylko, ażebyśmy umieli na pamięć reguły moralne i uznawali ich wartość. No, ja i wy umiemy je na pamięć, szanujemy ich wartość — i cóż z tego? Włożą one w nasze myśli, rozplywają się w naszych uczuciach, ale nie wsiąkają w naszą wolę. Niechaj ktoś tak mnie wychowa i tak umoralni, ażeby nie zdołał nic takiego popełnić, co dla tych myśli jest głupie, a dla tych uczuć wstrętne. Niech mnie kto nauczy tego, ażebym, będąc człowiekiem rozumnym i uczciwym, nie zajrzał przeciwnikowi przy grze w karty, nie uwiódł ładnej kobiety, która nie stawia oporu, ażebym nie zamknął oczu na cudzą niedolę itd. Powiedzcie mi szczerze, czy którykolwiek z was potrafi tak mnie lub siebie ukształcić?

Milczeli.

— A czy może zbadaliście, dlaczego ludzie zacni w teorii są niegodziwcami w praktyce?

— Zbieramy dopiero materyał — odezwał się prezes.

— Ha, będę go zbierał z wami, ale jeżeli po upływie pewnego czasu nie wydobędziemy z niego rozwiązania zagadki, machnę ręką na cały wasz bzdurny klub i założę inny. A wiecie jaki? Taki, w którymby członkowie wynajdywali sposoby przerabiania ludzi uczciwych w teorii a niemoralnych w praktyce na skończonych łotrów, podłych w woli i w czynie, jednolitych. Dla ogółu, dla świata wszystko jedno, czy mu wyrządza krzywdy ideolog, czy nicpoń, a przynajmniej ci nicponie będą szczęśliwi, bo się uwolnią od wewnętrznego rozdwojenia i rozdźwięku.

Ale dosyć już na dziś filozofii. Pożegnaj was, bo muszę wyjść na spotkanie pewnej pokusy, która mi drogę zachodzi i której prawdopodobnie ulegnę. Mam nadzieję, że z niej dostarczę wam dużo pouczającego materyału.

— Dobry z niego nabytek — rzekł prezes.

— Radykał — wtrącił ktoś z boku.

Inni pogrążyli się w zadumę.

3

Ze wszystkich woni najlotniejszą, ze wszystkich dźwięków najdonioślejszym, ze wszystkich światel najdalej promieniejącym — jest plotka. Gnijący trup słonia rozpościera odór na milę, armata forteczna rozsyła swój huk na dwie mile, płonące miasto rzuca lunę na kilka mil, obmówiony człowiek obciąga nieraz swoją niesławą cały glob ziemski. My w Warszawie przeżuwaliliśmy plotki o Eminie baszy, przebywającym we wnętrzu Afryki, o prezydencie amerykańskim lub vice-cesarzu chińskim, a to samo robiono w Szwecji, Hiszpanii, Anglii — wszędzie. Jest to najzupełniej naturalnem i usprawiedliwionem. Śród przedmiotów wiedzy najciekawszym jest dla człowieka człowiek. Od czasu do czasu napada nas chęć przeniknięcia tajemnic słońca lub księżyca, roślin lub wulkanów, ale

najstalszem i najgorętszym pragnieniem naszym jest chęć przeniknięcia tajemnic ludzkich. Zadanie to o tyle trudne, o ile ponętne, gdyż korona stworzenia składa się z istot najdoskonalszych, ale i najobludniejszych. Włóczy się po świecie od wieków bajda, że każdy najmniej zna samego siebie, a daleko lepiej innych. Że w niej nie tli się ani iskierka prawdy, dostrzedz łatwo, porównawszy naszą wiedzę o sobie z wiedzą innych o nas. Jeżeli zaś takie porównanie przeprowadzimy w szerokiej mierze, to dojdziemy do wniosku, że człowiek ma takie samo prawo wyrokowania o człowieku, jak mrówka o mrówce. I one przecież porozumiewają się wzajemnie, karzą, tworzą społeczeństwa i przedsiębiorą wspólne wyprawy, jednakże każda daleko więcej wie o sobie, niż o innych, których ustroju nie umiałaby objaśnić w najprostszym szczególe. Ale mrówki są o tyle mędrsze od ludzi, że milczą i nie wyrokuje o swoich towarzyszkach, nie piszą swoich dziejów, nie wydają sądów równie stanowczych, jak na niczem nieopartych. Może niema między czytelnikami tych słów ani jednego, któryby wielokrotnie nie znalazł się wobec jaskrawej sprzeczności między istotnymi pobudkami swych czynów a tem, które mu inni przypisują. Wzruszył cię los jakiejś biedaczki, którą tajemnie wspierasz; ludzie dostrzegli twoje sekretne u niej wizyty i mianowali ją natychmiast twoją utrzymanką. Kupiłeś sobie jakiś szczególnego kroju surdut, który ci się podobał; ludzie twierdzą, że chcesz nim zwrócić na siebie uwagę. Idziesz do kościoła, ażeby się pomodlić; oni utrzymują, że czynisz to dla przypodobania się bogatej a pobożnej ciotce. Ileż razy nicpoń, którego samolubną rachubę nazwano bezinteresownem poświęceniem, rozśmiał się szydyczko, lub zacny ideolog, którego bezinteresowne poświęcenie nazwano samolubną rachubą, rozśmiał się gorzko! Są nawet charaktery dostojne, które ze szczególną przyjemnością idą gościńcem życia w niepokalanej szacie swej moralnej czystości wśród błotnistego deszczu niegodziwych posądzeń. Na ich twarzach nie widać żadnej boleści, przeciwnie, jakieś wyniosłe zadowolenie i dumna wzgarda.

Wobec tej prawie zupełnej niewiedomości człowieka o innych ludziach nieocenioną przysługę oddaje mu plotka. Jest to zwykle garść kurzu, schwytanego w powietrzu około kogoś i rzucona potem w oczy innym. Albo jest to twór, który posiada czujny węch, a bardzo stępiony wzrok. Zwęszy on coś szybko, ale nie dosłyszysz wszystkiego, a nie dostrzeże czasem takich dowodów, które same rzucają się w oczy. Niepodobna zaprzeczyć, że plotka daleko bardziej dogadza ludzkiej ciekawości, niż złości. Ona nie zawsze bywa potwarzą, najczęściej informacją. Zwłaszcza zaś między osobami wysoko postawionemi a ogółem jest ona jedyną pośredniczką, roznoszącą wiadomości.

Jeśli zaś oblatuje cały świat, to naturalnie bez zbytecznego wysiłku skrzydeł może oblecieć największe miasto. Nieraz słyszymy, że Warszawa jest plotkarską. Zarzut niesłuszny, bo równie plotkarskim jest Berlin, Paryż lub Londyn. Kilka kilometrów przedłużenia drutu nie stanowi dla telefonu języków ludzkich żadnej różnicy. Tylko połączenia rozmawiających są liczniejsze i rozmaitsze.

Miasto, w którym osiadł klub szachistów, liczyło przeszło sto tysięcy mieszkańców, a więc nie narażało plotek na zbyt wielkie zmęczenie. Mnożyły się też one bardzo obficie i okrażały klub stadem brzęczących i kłujących komarów. Co prawda, sam on rozdrażnił ciekawość ludzką. Naprzód, z wyjątkiem prezesa, nie posiadał ani jednego dobrego szachisty, skutkiem czego nasunął podejrzenie, że pod tym szyldem ukrył coś innego. Powtórnie otoczył się bardzo ścisłą tajemnicą i nie przyjmował nowych członków. Puszczono w ruch domysłność: jedni odgadli, że jest to loża masońska, drudzy zapewniali, że przybytek gier hazardowych, inni — że miejsce schadzek rozpustniczych i t. d. Między temi przypuszczeniami odzywała się również informacja, że członkowie klubu spowiadają się ze swego życia dla studyów psychologicznych. Naturalnie w każdym wypadku był on przedmiotem zgorzienia i celem napaści. Ludzie wszakże mają w swych duszach głęboko zakopaną słabość do rzetelności. Wtedy, kiedy najbardziej kłamią i najzawzięciej roznoszą plotki, chcieliby dotrzeć do prawdy. Ztąd to powstały ciągle ponawiane usiłowania wejścia do klubu, ażeby poznać jego organizację i cele, ażeby je potem w szeptach i poufnych zwierzeniach rozgłosić. Podkopy te jednak — jak widzieliśmy — spostrzegano i niweczono. Ale nareszcie pewnego dnia wpadła do plotkarskiego młyna wieść, że Urbin został do klubu przyjęty. Dlaczego on?... W szachy nie grał, więc jakież miał kwalifikacje? Twardy ten orzech gryziono z tem większą zapalczywością, że Urbin był w mieście postacią bardzo znaną, lubianą i szanowaną, a jako człowiek zamożny i zajmu-

jący korzystne stanowisko radcy prawnego w banku, pociągał ku sobie serca wielu mam i ich córek. Przy najbliższej okazji zagadnęła go otwarcie na balu jedna z pięknych dam, która miała nawet wstęp do jego szczerości, gdyż przed paru laty wraz z nią oszukiwał jej męża przez kilka miesięcy u wód zagranicznych i leczył ją z „pustki w życiu”.

Urbin doznał dziwnego wrażenia, uświadomiwszy sobie, że ten obcy człowiek, który na nich patrzy, nie tylko wie, co oni w największej skrytości kiedyś czynili, ale nawet zgaduje, o czym mówią i myślą teraz. Było to wrażenie takie, jak gdyby ktoś nagle wysunął go z ubrania i postawił nagim. Tymczasem prezesowi nie chodziło bynajmniej o proste zadowolenie swej ciekawości i bezcelowe szpiegowanie towarzysza. Miał on ważniejszy ku temu powód. Tuż przy nim siedziała młoda panienka wysokiej urody, która prowadziła z nim przyciszoną rozmowę. Było to jeszcze dziecko — nie przeszła lat 18 — ale dziecko bardzo szybko dojrzewające. Zarumieniona młodością twarzyczka układała się co chwila w jakiś energiczny wyraz, a czarne oczy pod bujnym złocistym włosom miały bezdenną głębię, w której naprzemiany to migał wesoły urok, to płonął mocny zapal. Widząc ją, nie wątpił, że ona szybko przedziergnie się ze ślicznej dziewczynki w również piękną, ale dojrzałą kobietę. Potrzeba było na to jednego wypadku, któryby jej uczucie zmroził swym chłodem lub doprowadził do wybuchu swym żarem.

— Co stryj ma przeciw niemu? — pytała natarczywie.

— Nic — odrzekł prezes — dopóki go nie nazywasz przystojnym, miłym, zajmującym...

— W czymże się myłę?

— Naprzód dla twojego gustu powinien być za stary, powtóre w objęciu się jest szorstki, a potrzebie — nudny. Gdyby ta pani, przy której on teraz siedzi, tak mówiła o nim, rozumiałbym, ale ty...

— Ale ja jestem również kobietą i mam oczy, których stryj nie posiada.

— O, nie wątpię — rozśmiał się prezes — daleko ładniejsze.

— Przedewszystkiem inne. Co ja widzę w mężczyźnie, tego stryj nigdy nie dojrzy.

— Przydałby ci się nieraz mój wzrok.

Prezes, który usiłował zniechęcić bratanicę do członka klubu na podstawie wiadomości tajemnych, rzeczywiście dopuszczał się pewnego wiarołomstwa, ale był usprawiedliwiony. Owa bowiem bratanica była jego naturalną córką, co wyznał w swej spowiedzi piśmiennej, a co starannie ukrył przed światem. I jeżeli w swej przemowie do towarzyszy zapewniał, że jest wolnym od wszelkich związków, któreby na wyjaśnieniu tajemnic jego życia ucierpieć mogły, to nie kłamał tylko formalnie. Iza Radek bowiem nie wiedziała, że on był jej ojcem, ale on o tem nie zapomniał nigdy, wychował ją od dzieciństwa, kochał serdecznie, a gdy niedawno wróciła z Anglii, gdzie się kształciła, doszedłszy do odpowiedniego wieku, miał zamiar ją adoptować i oddać jej po śmierci cały swój majątek. Przywiązany był do niej zawsze, ale teraz, kiedy stanęła przy nim w całym blasku swych wdzięków, rozgorzał ku niej jeszcze większą miłością ojcowską i pragnął jej przyszłość utkać z najświetniejszych promieni szczęścia. Właściwie każdy młody mężczyzna, który zwracał się do jego córki, rzucał według niego na tę przyszłość cień, ale Urbin raził go bardziej od innych, bo był dlań zupełnie przejrzystym. Henryk Radek wszakże posiadał silny charakter i zdolność panowania nad sobą; wkrótce więc spostrzegł, że przestąpił linię honoru i postanowił z Izą dalej się nie spierać.

Zresztą Urbin, umówiwszy się z dawną swoją przyjaciółką o spotkanie, powstał i zbliżył się do nich. Był mocno błądy, a mdły uśmiech ciągle odrywał się od jego ust, do których przywarł wyraz niesmaku.

— Żałuję bardzo — rzekł — że nie umiem ani grać, ani śpiewać, ani deklamować, ani żadnej innej sztuki rautowej. Zabawiałbym szanowną publiczność, a sobie dał niewinne zajęcie.

— Czy pan się nudzi? — zapytała Iza.

— Niestety — nie.

— Czemuż niedostatek?

— Człowiek, który się nudzi, nic nie robi, a kto nic nie robi, spełnia mnóstwo cnót negatywnych: nie kradnie, nie oszukuje, nie zabija itd. A to bardzo dużo znaczy.

— Czyż koniecznie musi czynić źle?

— Przekona się pani później w życiu, że na najuboższy pokład złota nie wypada tyle piasku, ile złych czynów ludzkich na dobre. Maszyna do młócenia zboża lub walcowania blachy, młóci zboże lub walcuje blachę, ale jeżeli koło niej bawi się gromada dzieci, które w nią wsuwają ręce lub głowy, to ona z równą siłą je miażdży. Są ludzie okrutne maszyny i są ludzie nieostrożne dzieci.

— Ze słów pańskich rozumiem tylko przerażający ton, który odzywa się również w przestrojach mojego stryja. Co za okropności widzicie panowie w życiu, których ja nawet nie odgaduję! Od powrotu z Anglii słyszę tylko naokoło: strzeż się! Czego?

— Siebie.

— Ależ ja sobie niczem nie grożę, ja się kocham, szanuję, jestem dla siebie życzliwa i dobra.

— Wierzę, bo pani jeszcze nie zaczęła się rozdawać. Jesteś młodą płonką, rosnącą i żyjącą tylko jednym pnem bez gałęzi, z których jedna kwitnie i wydaje zdrowe owoce, a drugą zjadają muchy, pleśnie i robaki.

— I ja muszę kiedyś być taką?

— Nie jest to konieczność, ale reguła.

— Jakże się przeciwko niej zabezpieczyć?

— Gdybym znał sposób, to naprzód sambym go zużytkował.

— Pan już się rozszczepił?

— Dawno.

— A te mchy, pleśnie i robaki toczą pana?

— Tak.

— I pan tego nie chciał?

— Nie.

— Ha, ha, ha, to zabawne! A wie pan, czym zabawne? Tem, że panowie uważacie mnie za gąszczkę, której już nie można straszyć kominiarzem, ale można jeszcze upiorem. Pojmuję stryja, bo go do tych strachów zachęca... wolno mi stryjowi powiedzieć? — miłość dla mnie...

— Wolno — wtrącił zadowolony Radek.

— Ale co pana skłania — ciągnęła dalej Iza — do wmawiania we mnie, że szatan osiedlił się w ludzkich duszach i zamówił sobie mieszkanie nawet w mojej?

— O kilkanaście lat wyprzedziłem panią w przyszłości na świat, więc zatem miałem czasu do obejrzenia go.

— Gdybym tak, jak pan, straciła wiarę w ludzi i w siebie...

— Toby pani, równie jak ja, zwróciła się do jej towarzyszek — nadziei i miłości.

— Ach, więc pan ma jeszcze nadzieję i...

— Tylko nadzieję. Każdy człowiek, niezadowolony lub nieszczęśliwy, oczekuje swojego mesjasza. Otóż i ja wyglądam mojego. Pod jaką postacią on mi się objawi — nie wiem, może będzie to przyjaciel, może mistrz, a może kobieta. Najbardziej pragnąłbym ostatniej. Cierpienia serca bowiem są daleko dotkliwsze, niż cierpienia mózgu; te zaś leczy nieraz mężczyzna, tamte zawsze kobieta. Naturalnie taka, która jest do tego zdolna i powołana. Ponieważ jest to objaw dość częsty i nie należy do owych wysokich szczytów, na których przebywa muza historii, więc ludzie spospolitowali go. A jednakże jest to cud daleko większy, niż uzdrowienie trędowatego. Bo czyż to nie dziwne, gdy człowiek, przykładając usta do najrozmaitszych źródeł życia, wypił z nich tylko gorycz, gdy przeszedłszy przez szereg związków i stosunków z innymi ludźmi, tylko ich znienawidził, wzgardził lub co najwyżej na zimno zważył — nagle pod czarodziejskim wpływem jakiejś nieznaney mu przedtem kobiety, często prostej dziewczeczki, odradza się, przeistacza, uczuwa podziw dla swego otoczenia, a szacunek i przyjaźń dla tych nawet, którymi poniewierał? Czyż to nie cud?

Przy tych słowach Radek poruszał się niespokojnie, a Iza milczała, utkwivszy swoje rozszerzone, czarne źrenice w Urbina, który prawil dalej:

— Bakteryj nie niszczy tak skutecznie ani woda, ani środki dezinfekcyjne, jak ogień. Dla człowieka, który ma w duszy bakterie moralne, rozum jest wodą, morały — środkami dezinfekcyjnymi, a dopiero wielkie uczucie — ogniem. Nas wszystkich chorych duchowo może oczyścić i uzdrowić tylko taki ogień.

Zamilkł. Iza jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, wreszcie rzekła zamyślona:

— Więc pan ma nadzieję, że pana on uleczy?

— Tak.

— A mnie się zdaje — rzekł z pewnym rozdrażnieniem Radek — że pan przez całe życie będziesz pocierał o swoje serce zapalki i to będzie cały pański ogień.

— Dlaczego panu tak się zdaje? — zapytał surowo Urbin.

— Bo o kilkanaście lat wcześniej od pana na świat przyszedłem — odparł Radek z przymuszonym uśmiechem.

— Zwracam panu uwagę, że mnie wtedy jeszcze na świecie nie było, więc pan nie mógłś mnie studyować.

Zaproszenie do kolacyi przecięło rozmowę w drażliwym punkcie. Radek usiadł przy córce, Urbin zdaleka. Znalazłszy się między dwoma starymi żarłokami, mógł rozmyślać swobodnie. Uprzytomnił on sobie jasno dwa fakty: pierwszy, że Radek, znający tajemnice jego życia, usiłuje mu przegrodzić drogę do córki, i drugi — że Iza rzuciła na niego silny urok. Zachodziły więc dwa pytania: czy w Radku zwycięży prezes klubu, czy też ojciec, oraz czy on powinien skazywać go na tę walkę i boleść? A jeżeli Iza będzie moją zbawicielką? — mówił do siebie. Jeżeli ją pokocham a miłość mnie oczyści? A gdyby ona była dla serca mojego tylko zapalką?

— Pan dobrodziej słyszał — skrzyknął jeden z nasyconych już staruszków — że Totkiewicz się żeni?

— Nie — bąknął Urbin.

— W tym wieku, mając dorosłe dzieci... pfe!

— Czemuż mu szanowny pan nie poradził, ażeby dla zadośćuczynienia moralności i niegorszenia dzieci wziął sobie raczej metrese?

Staruszek spojrzął na niego zezem i zamilkł.

Tego wieczora Urbin nie zbliżył się więcej do Izy.

4

Rozterka wewnętrzna pędziła Urbina do czynów hazardownych. Spodziewał się on od nich jakiegoś przełomu, zwrotu na drogę, której pragnął i na której mógłby się stale utrzymać.

— Jeżeli mam tak rozdwojoną naturę — rozmyślał — że ciągle robię to, czego robić nie chcę, jeżeli wola moja niezdolna zapanować nad moimi popędami, to może mnie uleczy jakaś wielka awantura, wielkie szczęście lub nieszczęście, które weźmie mocną ręką za kark i pchnie w pewnym stałym kierunku. Niech mnie kto zbije, zelży, sponiewiera, zniesławi, zgodzę się na wszystko, abym tylko wyszedł z tego dręczącego stanu, abym wreszcie kiedykolwiek miał prawo powiedzieć sobie: takim jestem, takim być chcę! Chociażbym nawet miał być złodziejem!...

Pod wpływem tego coraz bardziej natężającego się w nim pragnienia, jednocześnie powrócił do stosunku z porzuconą mężatką, zaczął odurzać serce Izy i naprzekor Radkowi występować jako jej konkurent. Sprzeczności zaostrzyły się groźnie.

Na tygodniowym zebraniu członków klubu Urbin opowiedział szczegółowo, może nawet zbyt szczegółowo, swoją schadzkę, nie kryjąc zamiaru ponowienia jej.

— Jest to — dodał — postępowanie dla mnie tem potworniejsze, że oglądam jego brzydotę przy świetle miłości, która w sercu mojem zajaśniała.

— Jakiej miłości? — spytał prezes.

— Ponieważ nie jest ona moim grzechem, lecz cnotą — odparł Urbin — więc do wyznań przed konfesyonałem naszego klubu nie należy.

— Mylisz się, Urbinie — mówił gorączkowo prezes. Jeżeli mężczyzna podaje rękę, zbrukaną romansami, niewinnej kobiecie, to popełnia występki. Nadto nas interesuje twoje czyste uczucie, zmieszane z brudnymi żądzami, jako ciekawy objaw psychologiczny.

— Inaczej patrzę na tę sprawę. Zresztą poza naszym zebraniem pomówię o niej z tobą prezesie i poproszę cię o radę, czy mam i tę moją tajemnicę wyjawić.

Radek sposępniał, a członkowie klubu zaczęli kolejno przerzucać wzrok na niego i Urbina, jak gdyby domyślając się prawdy i przeczuwając starcie między nimi.

Nazajutrz Urbin przybył rzeczywiście do Radka i po chłodnym powitaniu odrazu przystąpił do rzeczy.

— Odmówiłem wczoraj bliższych objaśnień o mojej miłości, bo jej przedmiotem jest pańska bratanica.

— Pan wiesz — odrzekł Radek, usiłując zapanować nad sobą — że jest to moja córka.

— W rozmowie poza klubem nie powinienem o tem pamiętać. Otóż przychodzę do pana z zapytaniem, czy ja mam na naszych zebraniach przedstawić tę sprawę?

— Jak się panu podoba — odrzekł Radek z drżeniem w głosie — ale czego pan nie powinienesz robić, to starać się o wzajemność Izy, bo ja na związek jej z panem nie zezwolę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że znam pańskie życie.

— Jako prezes klubu, ale nie jako Henryk Radek. Jest to z pańskiej strony wyzyskiwanie swego stanowiska przeciwko członkowi stowarzyszenia i łamanie obowiązku, który uroczyste zaprzysiągłeś. Gdybyś pan nie był dopuszczony do moich szczerych wyznań, przyjąłbyś niezawodnie z radością moją rękę dla swej córki.

— Mylisz się pan, nie uważałbym cię nigdy za odpowiedniego dla niej męża.

— Jest to wykręt, którego pan nie udowodnisz.

— Niech tak będzie. W każdym razie wiedząc, że charakter pański jest poplamiony, nie mogę sądzić, że jest czysty.

— Ale panna Iza tak sądzi.

— Ja panu też tylko mówię, jak na małżeństwo z panem patrzy jej ojciec.

— I pan przypuszczasz, że znajdziesz dla niej męża, który będzie człowiekiem niepokalanym? Ha, ha, ha!

— Przynajmniej będę wraz z nią w to wierzył.

— A więc panu potrzebne jest złudzenie, oparte na obłudzie przyszłego zięcia? Pyszny z pana ojciec, a jeszcze pyszniejszy prezes stowarzyszenia szczerości!

— Z ojcostwa dymisy wziąć nie mogę, a z prezesostwa ją przyjmę.

— A no, pomówimy o tem na zebraniu.

Uklonił się chłodno i wyszedł.

Urbin nie kochał jeszcze tak dalece Izy, ażeby jej ojca wyzywał do walki w imię potężnego dla niej uczucia. Panna podobała mu się bardzo i obiecywała mu wszystkimi przymiotami szczęście oraz ten wpływ umoralniający, o którym marzył, ale teraz przedewszystkiem chodziło mu o zagłuszenie wewnętrznego rozstroju jakimś wybuchem energii. Radek natomiast cierpiał. Nie spodziewał się on nigdy, że wypadki postawią go między tak ostremi przeciwieństwami, między obowiązkiem dyskrecyi i niepamiętania moralnych skaz człowieka, który mu je pod przysięgą tajemnicy wyznał, a miłością dla córki. Z duszą rozdartą nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy, co powinien uczynić, co poświęcić i co obronić, a nawet, jaką właściwie wartość moralną posiadał Urbin. Bo rzeczywiście, gdyby nie znał jego zwierzeń, uważałby go może za pożądanego męża dla swej córki. Ale je zna, zna!

Poszedł na posiedzenie klubu ze świadomością, że będzie musiał wytrzymać gwałtowną burzę, ale bez żadnego pojęcia, jak ją zmoże.

Urbin natychmiast po zebraniu się członków przedstawił całą sprawę.

— Jeżeli złożone tu wyznania — dodał — mają oddziaływać na nasze wzajemne stosunki i czyny poza klubem, to jego wyłącznie naukowy cel jest błagą, a my wszyscy bohaterami głupiej komedyi, która nie warta jest tego, ażeby ją grali ludzie poważni i uczciwi.

— Kiedy my nie jesteśmy uczciwi — przerwał prezes błady.

— Ale mieliśmy być takimi względem siebie.

— A więc powiedzcie: czy ja mu powinienem dać córkę? — zapytał Radek wzburzony.

Powstał gwar i spory, roznamiętniające członków coraz bardziej i niezapowiadające zgody. Radek siedział wzruszony i milczał. Wreszcie odezwał się słabym głosem:

— Widzę, że dziś nie dojdziemy do żadnego porozumienia. Zapraszam was na jutro dla ostatecznej decyzji. Niech każdy z nas rozważy tę kwestyę z samym sobą.

Zdaje się, że on najbardziej tego potrzebował. Powrócił do domu tak zgnębiony, że Iza od razu to spostrzegła i zaczęła dobadywać się przyczyny.

— Niezdrów jestem — odparł.

Ale ona rozpoznała wybieg, poza którym coś się ukrywało. Nalegała więc dalej.

— Nie, stryju, ciebie gryzie jakaś boleść, której zdusić nie możesz. Musiało coś zająć w tym nieszczęsnym klubie, o którym ludzie tyle bajek przędą. Mój drogi, czemu ty mnie zbywasz zawsze żartami i nie chcesz powiedzieć, co to za stowarzyszenie?

Starcie z Urbinem wyczerpało go i osłabiło w nim siłę oporu; ustawa klubu nie zabraniała odsłaniać jego celu osobom zaufanym, więc Radek dał córce rzetelne objaśnienie.

Wysłuchiwała go z wielką ciekawością.

— Każdy ze wszystkich tajemnic się wypowiedział? — powtórzyła gorączkowo.

— Ze wszystkich — rzekł Radek.

— I ty stryju?

— I ja.

— I Urbin?

— Tak. Ach, zapomniałem, oświadczył mi się o ciebie. Czy chcesz pójść za niego?

Iza nie rzekła ani słowa i zatoneła w rozmyśleniach. Powstawszy, zaczęła chodzić przyspieszonymi krokami po pokoju. Na jej twarzy odbijał się zamęt różnorodnych myśli.

— Prześpij się stryju trochę, to cię wzmocni — rzekła czule.

Radek usłuchał tej rady, przeszedł do swego gabinetu, położył na biurku dwa duże klucze, które trzymał w ręku, zdjął tużurek, oparł się na szezlongu i zasnął. Iza wpatrywała się w niego uważnie czas jakiś, wreszcie utkwiała wzrok w owe dwa klucze; po krótkim wahaniu porwała je i wybiegła.

Klub szachistów mieścił się na tejże ulicy o kilka domów dalej. Niebo spuściło ku ziemi szare, wełniste chmury, które płynąc nisko, wysypywały ze swego wnętrza lekkie płatki śniegu. Wieczór już rozpościerał gęste mroki, kiedy Iza weszła do sieni, otworzyła cicho drzwi pokoju klubowego i równie cicho je zamknęła. Następnie zapaliła przyniesioną z sobą świecę i rozejrzała się wokoło. Spozstrzegła okutą skrzynię, którą odemknęła drugim kluczem i podniosła wieko. Wewnątrz leżały uporządkowane zeszyty zapisanych papierów. Iza podjęła jeden i przeczytała nagłówek: Śniecki. Położyła go, wzięła drugi, potem trzeci, ale dopiero czwarty zatrzymała w rękach i zaczęła przeglądać. W miarę jak posuwała wzrok po rękopisie, oczy jej rozogniały się, a twarz martwiała. Nagle drgnęła, opuściła zeszyt i wyszeptwała:

— On jest moim ojcem....

Długo stała nieruchoma z falującą piersią, z półotwartymi ustami, na których smutek pasował się ze słabszym od niego uśmiechem. Wreszcie położyła i ten zeszyt a wyjęła inny z nadpisem: Urbin. Zdawało się, że każdy wiersz tego pisma był młotem, który uderzał w jej serce. Daremnie załamiona, dysząca głęboką boleścią wyteęzała siły, ażeby doczytać do końca: cisnęła papier i krzyknęła z odrazą:

— Brr... brr... udny!

Nie zamknawszy skrzyni, wypadła z pokoju na ulicę. O kilka kroków spotkała Urbina, który ją poznał.

— A pani co tu robi?

— Wracam z apteki, stryj troszkę niezdrów.

— Pozwoli pani odprowadzić się do mieszkania?

— Proszę — odrzekła po krótkim namyśle.

— Być może — mówił Urbin idąc koło niej — że mimowolnie stałem się sprawcą niedyspozycji stryja. Miałem z nim dość drażliwą rozmowę. Czy pani się niedomyśla treści?... Z milczenia pani wnoszę, że nie tylko on jest przeciwko mnie. Panno Izo, czy i ty nie chcesz być moją żoną?

Stanęli pode drzwiami. Iza targnęła za dzwonek. Radek, który już po drzemce wstał, zdziwił się, zobaczywszy ich razem wchodzących do salonu. Przywitał jednak Urbina grzecznie, a córkę zapytał:

— Skąd ty wracasz, Iziu?

— Chodziłam po lekarstwo dla... ojca.

— Dla kogo?

— Dla ojca — powtórzyła z naciskiem.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco, a Iza na nich.

— Spotkałam na ulicy pana Urbina — mówiła dalej ze sztuczną wesołością — który mi zadał to samo pytanie, co ty ojcie: czy przyjmę jego rękę; odpowiem wam obu: nie!

— Dlaczego? — ozwał się ponuro Urbin.

— Ha, ha, ha — zaśmiała się spazmatycznie, padając na fotel — dlatego, że to nie jest moim obowiązkiem... ha, ha, ha... dlatego, że nie chcę... dlatego... Wyobraźcie sobie panowie — ciągnęła dalej wśród śmiechu — znalazłam dziś w pułapce mysz, która mi opowiedziała, że uciekła do nas z klubu szachistów, gdyż tam zjadła kawałek zapisanego papieru z jakiejś skrzyni, który był tak gorzki... tak gorzki... ha, ha, ha... że omal się nie otruła.

— Przyzna pani — zauważył Urbin z tłumioną złością — że była to mysz bardzo szkodna.

— Mniej od tych — odrzekła Iza — którzy zostawili tę trutkę.

Urbin skłonił się i wyszedł.

Nazajutż klub szachistów rozwiązał się, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich członków. W rok potem Iza została żoną człowieka, który po ślubie okazał się tak wielkim łotrem w idealnej skórce, że wszystkie drzewa podsuwały mu swe gałęzie na szubienicę. Urbin dotąd rozmyśla i pisze ciekawe dzieło o dwoistości natury ludzkiej, a stary Radek powtarza machinalnie przy każdej sposobności:

— Źle wiedzieć i źle nie wiedzieć.

VI. ONA

— Głowa otwarta, ale serce zamknięte.

Tak najlaskawiej odzywali się koledzy w uniwersytecie o Henryku Bukowskim, który, jakby na potwierdzenie tego wyroku odcinał się ostrym charakterem od całego ich grona. Nie widziałem go nigdy zbratanego z kimkolwiek serdecznie. Dumny, chłodny, niepoddający się żadnemu zbiorowemu ich naciskowi, był przedmiotem szczególnej niechęci patronów — jak szydersko nazywał — „cnoty owczego stada”, którzy ze swych mściwych języków splatali nań ostre bicz. Nikt nie umiał powiedzieć dokładnie, za co go chciano chłostać; ale chłostano — w poufnych między sobą zwierzeniach, plotkach i przymówkach, bo w otwartym starciu zbyt silnie odpierał najłżejsze zamachy, ażeby nawet ci chcieli z nim walczyć, którzy go najbardziej pokonać pragnęli. Zdawało się, że wiatry późniejszych losów rozwijają poza murami uniwersytetu ten gęsty kurz drobnych waśni, wzbijany gniewnem tupaniem „stada”, a otaczający i duszący odłączonego odeń kozła. Tymczasem jakkolwiek Bukowski po skończeniu kursów oderwał się zupełnie od stosunków z dawnymi kolegami i naprzód gdzieś wyjechał a potem, jak ukryty w jamie borsuk, pracował za 25 rs. miesięcznie w Archiwum Głównem, ciągle przelatywały mi koło uszu różne o nim wieści. Raz nawet młoda panienka, opowiedziawszy mi pod jego imieniem jakąś bajeczkę, zapytała natarczywie:

— Co to za figura ten pan Bukowski?

Nareszcie i ja sobie to pytanie zadałem. Pamiętałem, że według opinii kolegów miał „głowę otwartą, ale serce zamknięte”, że skutkiem tego rzucano nań przeróżne klątwy, któremi on nie czuł się wcale pognębiony; ale jaki to był właściwie charakter, nie próbowałem odgadnąć. Młode umysły, opanowane wielkością geniuszów, których świeżo z książki lub lekcji poznały, nie zwracają bacznej uwagi na swoje żywe otoczenie i nie prędzej zastanowią się nad wartością kolegi Pawła i Józefa, aż ochłoną nieco z uwielbienia dla Milla lub Darwina. I ja więc nie zaglądałem w duszę Bukowskiego, pograżony w przepaściach dusz innych — wielkich. Gdy jednakże, utajone na chwilę pod wpływem studyów i pierwszych wrażeń samodzielnego życia, wspomnienia uniwersyteckie zaczęły się budzić, a towarzysze ławki szkolnej zdaleka przypominać, zapragnąłem po długim niewidzeniu spotkać Bukowskiego. Chęć tę pobudzały nietylko ustawicznie około niego snute sieci plotkarskiej pajęczyny, ale i pewne rysy, jakie z jego niezwykłej natury zapamiętałem. Szczupły, blady, wyrazistej twarzy z ciemnym, rzadkim obrostem, sprawiał wrażenie człowieka, który umie i lubi nie zginać, lecz łamać, nie odsuwać, lecz roztrącać, nie żłobić, lecz przebijać — myślą. Znac było jednak, że przyspieszone tętno energii wyczerpywało jej siłę. Gdy mówił, każda komórka w nim drgała a z oczu sypały się błyski gorączkowe; ale gdy zamilkł, po całej postaci rozlewało się takie omdlenie, taka trupia martwota, jak gdyby z ognia, który przed chwilą gwałtownie wybuchał, nie została w piersi ani jedna iskra. Ponieważ zaś bezwładność ta opanowywała Bukowskiego bar-

dzo często, wnosić więc należało, że była ona znamieniem natury marzycielskiej, która tylko od skrzesanej w silnych starciach iskry na chwilę się zapalała. Henryk pracował niezmordowanie, nie zdołał jednak nigdy przyzwyczaić myśli do regularnego rytmu badań ścisłych, lecz puszczał ją w niesforny lot po całej dziedzinie wiedzy. Z historii wydobywał wielkie dramaty, z nauk przyrodniczych — wielkie procesy rozwoju świata, z prawa — wielkie starcia żywiołów społecznych, a gdy mu brakło pod śmiałe gmachy teorii faktycznego gruntu, wspierał je na swojej fantazyi. We wszystkich tych rojeniach niezaprzeczoną była uderzająca oryginalność, odwracanie wszystkiego nową na wierzch stroną, co niechętnym dostarczało materiału do szyderstw, dla mnie zaś stało się owym supelkiem, związanym na wspomnieniach, który mi później przywodził na myśl kolegę z „otwartą głową, ale zamkniętym sercem”. Raz właśnie, mijając gmach Archiwum Głównego, rozmyślałem nad tym supelkiem, gdy z bramy wyszedł Bukowski. Nie dostrzegł mnie — zawołałem. Przystanął, uśmiechnął się przyjacielsko i rzekł, podając mi rękę.

— Dziś mi się wiedzie. Spotykam ciebie, przed chwilą za brak uniżenia strącili mnie z 25-rublowej godności przepisowacza akt starych, a rano zaoferowano miejsce w księgarni.

— W księgarni? — spytałem zdziwiony. Czy do tego zawodu czujesz istotne powołanie?

— Mój kochany — odparł ironicznie — żyjemy, a przynajmniej ja żyję w takich warunkach, że jedynym powołaniem być może nakarmienie głodnego żołądka i odzianie nagiej skóry. Wracając przed półrokiem ze wsi, spotkałem na drodze Bowińskiego — rok wcześniej od nas skończył wydział filologiczny — wiesz co robił? Mierzył jako konduktor szosowy pryzmy szabru. Takie powołanie i mnie wzywa do księgarni. Wejść do niej z pociechą, że Böhme szył buty, Jacobi pieprz sprzedawał, a Spinoza szlifował kamienie. Wreszcie zawsze wyżej cenilem książki, niż ludzi, którzy po największej części przedstawiają tylko materiał na pergaminowe dla nich okładki.

— A czy pomyślałeś nad tem — wtrąciłem — że gdyby każdy skorzystał z prawa takiej wzgardy i tybyś musiał stracić rację bytu dla innych?

— I Archimedes wyważyłby świat, gdyby... gdyby każdy mógł być mądrym, wszyscy byliby dla niego głupi. Idzie tylko o *gdyby*. Ach, mój drogi, w tem jednym słówku mieści się cała filozofia, cała siła i niemoc nasza. Uwolnij mnie dziś od *gdyby*, a jutro będę...

— Zapewnie — rzekłem — są jednak ludzie, a do nich, o ile mi się zdaje, ty należysz, którzy pogmatwane warunki życia płaczą jeszcze bardziej swoim rozdrażnieniem.

— Bogu, któryby mi dał tę przestrożę — zawołał szyderczo Bukowski — odpowiedziałbym: dlaczego mnie takim stworzyłeś? Cóż więc tobie mam odpowiedzieć?

— A więc szanowny Byronie pozostaje ci tylko pisać poezye.

Żart ten rozweselił mojego kolegę.

— Przeszkadza mi małe *gdyby* — odrzekł z uśmiechem. Tak nie znoszę jednostajności, że nie mógłbym związać dwu zgodnych z sobą końcówek. A przecież jest to konieczny warunek idealnej poezyi, chociaż rzeczywistość oddawna już u nas rymuje małpę z mędrcom i komara ze słoniem. Widzisz tam...

— Co takiego? — zapytałem po chwili, spojrzawszy na Bukowskiego, który nagle uciał i w jakiś punkt niemo się zapatrzył. Nawet nie zwrócił się do mnie.

— Co takiego? — rzekłem.

On ciągle milczał z utkwionym nieruchomo przed siebie wzrokiem. Byłbym prawdopodobnie nie odgadł właściwej przyczyny tego dziwnego zamilknięcia, gdybym przypadkowo nie zauważył zbliżającej się ku nam młodej kobiety, którą Bukowski przeprowadził poza siebie oślepieniami oczyma.

— Kto to?

— Nie wiem — odparł drażliwie — czy widziałeś tych dwu mężczyzn, którzy...

— Będę szczerzyj od ciebie — przerwałem — widziałem tylko tę kobietę, która jest rzeczywiście tak piękną, że będąc Adamem, objadłbym dla niej wszystkie drzewa wiadomości złego i dobrego. Znasz ją?

— Nie, tylko spotykam często.

— I nie dowiedziałeś się nawet, jak się nazywa? Jutro ci powiem.

Bukowski drgnął i rzekł poważnie, kładąc nacisk na każde słowo.

— Nie mów mi o niej ani słowa, chociażbyś wszystko wiedział — proszę cię o to.

— Dlaczego? — spytałem zdziwiony.

Uśmiechnął się smutnie.

— Tajemnice w sercu ludzkim nie są koszykiem wisien, któremi by można na deser częstować przyjaciół, dopóki jeść je zechcą. Poprzestań więc tymczasem na mojem życzeniu.

— Przepraszam cię — odrzekłem nieco zmieszany tą delikatną odprawą — rzeczywiście trudno częstować przyjaciół wiśniami, które są jeszcze tak zielone.

Zamilkliśmy obaj, prawdopodobnie myśląc o tem, czemu by złagodzić ten rozdźwięk i pożegnać się jak najprędzej. Bukowski pierwszy odezwał się po chwili.

— Zabawny widok przedstawiają ludzie, z których jeden udeptał drugiego w odcisk, gniewa się, że udeptany z bólu nie syknął.

— Zapewnie — odrzekłem, dzieląc słusność tej uwagi — tyle winien ten, co ma odciski, ile ten, co je mimowoli uraża.

Wyszliśmy na ulicę Senatorską.

— W którą stronę idziesz? — spytał Bukowski.

— Na prawo.

— Ja na lewo.

Podawszy sobie ręce, rozeszliśmy się w przeciwne strony. W pytaniu mojego kolegi dostrzegłem chęć pozbycia się towarzystwa. Pragnął zapewne pozostać sam i zatonać we wrażeniu, które mu widocznie myśli pętało. I mnie zaczęły snuć się po głowie związane z tem wrażeniem pytania. Kto była owa spotkana kobieta? Jeśli jej Henryk rzeczywiście nie znał, dlaczego tak stanowczo zabezpieczył się przeciwko najdrobniejszemu o niej doniesieniu? Czy w jego tajemnicy spoczywał owinięty dramat, czy niezrozumiałe dziwactwo? W każdym razie kryło się w niej coś, co krwawiło wrażliwą duszę mojego kolegi i co uczyniło go dla mnie przedmiotem zwiększonej ciekawości.

Upłynął miesiąc i Bukowskiego nie spotkałem ani razu. Nareszcie pewnej soboty wybrałem się na koncert do Doliny Szwajcarskiej. Grano symfonię, więc osób było niewiele. Przeglądając szczupłe ich grono, spostrzegłem z boku przy estradzie Bukowskiego. Siedział on zasluchany w muzykę, od czasu do czasu jednak zwracał spojrzenia w jeden punkt i długo je na nim zatrzymywał. Bez trudu wysledziłem, że w środku Doliny, w towarzystwie dwu matron i jednego mężczyzny znajdowała się też sama kobieta, którą spotkaliśmy na ulicy. Zająwszy dość bliskie miejsce, mogłem jej się uważnie przypatrzyć. Przeliczyła już zapewne lat dwadzieścia kilka. Na wysmukłej, foremnie zaokrąglonej postaci kołysała się swobodnie, choć poważnie cudowna głowa. Czarne włosy pieściły otwarte i rozumne czoło, pod niem głębokie, siwe, może kiedyś swawolne, ale dziś tylko łagodnie rozmarzone oczy płonęły tym miłym blaskiem, który więcej ogrzewa, niż parzy. Ruchliwe nozdrza delikatnie zarysowanego nosa zdradzały czujną wrażliwość, a przelatujący po wąskich ustach i często niknący uśmiech zdobił je nieujęty w słowo czarem. Nikt nie nazwałby jej twarzy smutną, a jednakże pogodny jej wyraz rozpląwał się często w jakimś poważnym zamyśleniu. Było to poważne zamyślenie, czy też tylko ów złudny wdzięk pięknych głów niewieścich, który nieraz zdobi największą ich pustkę? Głowy te bowiem są podobne do pięknych kwiatów, na które patrząc zdala, jesteśmy przekonani, że barwne ich korony wydają z siebie najrozkoszniejszą woń, gdy tymczasem one po bliższym zbadaniu okazują się bez żadnego zapachu. Tak samo zwodziła może i twarz uroczej nieznajomej. Ja jednakże w jej piękności widziałem niezwyčajny rozum, widziałem z chmur jej czoła przedzierające się oczami błyskawice uczucia, widziałem wszystko, co tylko bogowie i boginie Olimpu, złożwszy swe najcenniejsze dary na stworzenie arcydzieła natury, zaofiarować mu mogą.

Nagle wśród tych rozmyślań poczułem na ramieniu lekkie dotknięcie. Poza mną stał ironicznie uśmiechnięty Bukowski.

— Jakże ci się podobała ta... symfonia? — spytał.

— Bardzo piękna — odrzekłem, budząc się z rozmarzenia. Siądź przy mnie, stąd lepiej... słyhać.

— Za blisko — zresztą teraz przerwa w koncercie — przejdźmy się po ogrodzie.

— Chętnie.

Wyszliśmy w odległą aleję. Bukowski milczał, nucąc jakiś motyw z odegranej symfonii.

— Lubisz muzykę? — zapytałem.

— O ile mi nie przeszkadza — odrzekł krótko i dalej nucić zaczął, widocznie jednak czem innym zajęty.

Mijające nas grupy osób dostarczyły materyału do kilku spostrzeżeń, z których przecież nie mogła się spleść ciągła rozmowa. Wreszcie zaczęto grać.

— Zostajesz jeszcze? — zagadnął mnie nagle.

— Zapewnie — odpowiedziałem, nieprzygotowany na to pytanie.

— Ja idę do domu — rzekł stanowczo.

— Zatem do widzenia.

Rzeczywiście wyszedł z Doliny, chociaż sądziłem, że tylko chciał się ze mną rozłączyć. Co go wypędziło? Czy jakieś przykre wrażenia, czy moja obecność? Zły na siebie, że mimowoli sprawiłem mu może przykrość, wkrótce opuściłem również koncert.

I znowu na kilka tygodni Bukowski zniknął mi z oczu, jakkolwiek nie ustąpił z pamięci. Jednego dnia wreszcie potrzebując kupić sobie jakieś dzieło, udałem się do księgarni, w której on pracował. Zastąpiłem go zmienionym, jak gdyby chorym, ale jednocześnie cieplejszym dla mnie, niż zwykle. Narzekał na zajęcia mechaniczne, nieodpowiadające jego usposobieniu, mówił o powrocie do Archiwum, a przede wszystkim prosił, ażebym go często odwiedzał. Odwiedzałem go też prawie codziennie, pociągany nieprzepartą siłą, która powoli splatała między nami węzeł serdeczniejszego stosunku. Raz — było to w styczniu — umówiliśmy się pójść nazajutrz do teatru. Jak zwykle przybyłem wieczorem do księgarni, i podczas gdy Bukowski załatwiał interesantów, ja przeglądałem na boku świeże wydawnictwa. Właśnie miałem mu zwrócić uwagę, że już pora widowiska się zbliża, gdy do księgarni weszły dwie kobiety. Jedna z nich była to dobra moja znajoma, pułkownikowa Rubowicz, która straciwszy w Kijowie męża i mowę ojczystą, powróciła do kraju, ażeby odzyskać przynajmniej to, co się odzyskać dało. Mimo późnego wieku i otyłości czynna, wiecznie zajęta wielkimi i małymi sprawami miejscowego życia, gromadziła obok siebie dość liczne towarzystwo, w którym i ja kilkakrotnie się znalazłem. Opadłszy na krzesło zmęczona, rzekła do Bukowskiego widocznie skażoną polszczyzną:

— Pozwólcie mi, panie, kilka świeżych walców Straussa.

Henryk przyniósł paczkę nut i rozłożył je przed pułkownikową. W tej chwili druga, przybyła z nią kobieta podniosła z twarzy gęstą, czarną woalkę i zbliżyła się do stołu. Bukowski zbladł, ja omal głośno nie objawiłem zdziwienia. Była to bowiem — ona.

— Czy mogę dostać u panów *Życie zwierząt* Brehma?

— A tobie na co, mileńka? — zawołała pułkownikowa.

— Chowam koty — odrzekła śmiejąc się nieznajoma.

Spojrzałem na Bukowskiego. Stał błydy, usta mu drżały, oczy świeciły gorączkowo, a twarz wyrażała jakąś nieprzytomność.

— Czy więc macie panowie Brehma? — powtórzyła młoda kobieta.

Pytanie to otrzeźwiło go. Wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł książkę.

— Com winna?

— Dwa ruble — odrzekł Henryk, zupełnie spokojny a nawet ironicznie uśmiechnięty.

Tymczasem pułkownikowa, mrużąc ciagle, wybrała kilka walców i kazała je sobie zapakować. Wtem dostrzegła mnie.

— Chwyciliśmy — zawołała podbiegając — ukryć się pan chciałeś — ha? Ślicznie, *comme il faut* młodzieniec. Dom mój omija i przywitać nawet przy spotkaniu nie raczy.

— I owszem pani... próbowałem się tłómaczyć.

— Nie wykręcicie się, jak wiun — przerwała. No, otwarcie, dlaczego pan u mnie byłeś tak długo?

— Zajęcia...

— Znam ja wasze zajęcia, ale już prosić nie zacznę. U mnie łaska życzliwych znaczy dużo, a niełaska nieżyczliwych — mało. Przed bramą nie stanę i łapać dobrodzieja nie będę.

— Ależ najchętniej — kiedy pani pozwoli.

— Ze słów sznur do nieba ukręcisz, a na dach po nim nie wleziesz. Pozwolenia nie potrzeba, pan wiesz, że u mnie co wtorki drzwi dla znajomych otwarte. Jeśli więc chcesz mnie przekonać, nie gadaj dziś, tylko przyjdź jutro.

To rzekłszy, odbiegła, wzięła nuty i kłaniając mi się zdaleka, dodała ciszej we drzwiach, puściwszy naprzód swoją towarzyszkę:

— W nagrodę poznam pana z ładną kuzynką.

Wyszła. Bukowski popatrzył długo na mnie, potem w okno, wreszcie rzekł drżącym głosem:

— Nie mam chęci iść do teatru, ale poszedłbym do ciebie.

— Dobrze.

Za chwilę byliśmy na ulicy.

Jako wiele obiecujący krytyk jednego z pism warszawskich i dlatego pobierający aż grosz od wiersza chętnie drukowanych artykułów, mieszkałem do spółki z tyleż obiecującym i tyleż cenionym kolegą w dwu pokojach na trzecim piętrze, w olbrzymim domu przy ulicy Wielkiej, której nazwa była jedynym zadowoleniem naszej głodnej sławy. Gdym zapalił świecę, spostrzegłem Henryka, stojącego nieruchomie na środku pokoju z oczyma utkwionymi w podłogę.

— Rozbierz się i siadaj — prosiłem.

— Zdjął palto i rzuciwszy się na najbliższe krzesło, zapytał:

— Czy jesteśmy sami?

— Zupełnie.

— Bo widzisz — rzekł jakimś przykrym tonem — jeżeli ty jesteś już niepotrzebnym spowiednikiem moich wyznań, to tem bardziej zbytecznym byłby jeszcze ktoś drugi.

— Ależ mój drogi — zauważyłem zdziwiony — ja wcale żadnych wyznań od ciebie nie żądam.

— Mimo to przyszedłem tu, ażeby się wypowiedzieć przed tobą z pewnych grzechów mojego serca; nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że muszę.

Umilkliśmy na chwilę.

— Czy nie mógłbyś mnie i siebie uwolnić od tych przykrych zwierzeń? — spytałem zakłopotany.

— Nie — odrzekł Bukowski i znowu zamilkł.

Błada jego twarz to obciągała się chmurami, to rozjaśniała ironicznym uśmiechem. Czasem robił wrażenie człowieka zbolalego, który ma przed cudzem okiem odsłonić jakąś głęboką ranę, a czasem znowu dumnego, który ma odkryć upakarzającą tajemnicę.

— Jeżeli chcesz mnie zrozumieć — rzekł wreszcie z wysiłkiem — pamiętaj zawsze, że jestem marzycielem nadzwyczajnie wrażliwym. Ludzie otrzymują od natury rozmaite serca: jedni tak twarde, że uczucia zbierają się w nich jak para w kotłach metalowych, której nadmiar może je rozerwać, ale nigdy rozszerzyć; inni znowu tak elastyczne, że każde silniejsze tchnienie rozdyma je jak balony gumowe. Takie właśnie rozdęte, wielkie, ale wątłe serce prawdopodobnie w spadku po matce ja posiadam. Ukłuj je najdelikatniejszą szpilką, opadnie puste, do powtórnego napełnienia niezdatne.

Przerwał, widocznie strudzony i znowu żywiej mówić zaczął

— Nazywano mnie zawsze zimnym i złośliwym. Nic dziwnego; dopóki gawrony, składające połowę ludzkiego rodu, nie wykąpią się w wodzie, przypuszczają zapewne, patrząc na nią zdala, że ją szlifować można. Byłem zimny, ale przy zetknięciu się z rzeczywistością, która moje rozpalone marzenia mroziła; byłem złośliwy, bo strzegłem przed zniewagą i rabunkiem skarb uczuć moich. Język jest mieczem, którym bronisz dostępu do swej duszy złodziejom i mordercom, a którym z przyjaciółmi, zwłaszcza gdy ona jest pusta, obierasz spokojnie kartofle na pokarm codzienny.

Ten dziwny, dosadnymi porównaniami naładowany wstęp jeszcze bardziej pobudził moją uwagę. Niecierpliwie też oczekiwałem właściwych wyznań Bukowskiego.

— Przed pięć laty — rzekł on po długiej przerwie — dobry czy zły los sprowadził mnie pewnego wieczoru do teatru. Usiadłszy w krześle, spostrzegłem niedaleko w łoży parterowej obok podstarzałej kobiety drugą bardzo młodą, do której siedzący poza niemi, średniego wieku mężczyzna coś z zajęciem szeptał. Ona nie odpowiadając mu wcale, wodziła wesołemi oczyma po teatrze, a zauważywszy, że pilnie się jej przypatruję, zatrzymała je dłużej na mnie. Nie chcę zbyt obnażać swego serca, więc nie będę cię szeroko

zaznajamiał z tem pierwszym jego odurzeniem. Dość, że doznałem jakiegoś zamętu w głowie, przed wzrokiem zawisła mi mgła, zapomniałem o przedstawieniu, o przyzwoitości, z natręctwem igły magnesowej zwracałem się ustawicznie do niej, olśniony, drżący, nieprzytomny. Wyobraźnia rozwieszała przed moją myślą najrozkoszniejsze i najboleśniej obraz. Raz ukazywała mi tę kobietę w świetle spełnionych marzeń, to znowu w mrokach męczeństwa, wreszcie na niedostępnych dla mnie wysokościach tronu społecznego. Pod wpływem tych zmieniających się obrazów omdlewałem z rozkoszy, konałem z bóleści lub drętwiałem z rozpacz. Dreszcz mną zatrzęsł, gdy odzyskawszy na chwilę świadomość swego stanu, pomyślałem, że może cały ten gwałtowny przypływ uczucia nie będzie miał żadnego ujścia i wiecznie burzyć się będzie, zamknięty w mej piersi. Ach, gdyby wtedy oberwał się był świecznik, który wisiał nade mną i roztrzaskał mi głowę!... Nie śmieję się, bo wybiegłszy z teatru, otrzeźwiony świeżym powietrzem, sam się gorzko rozśmiałem... Głupia duszo — powiedziałem sobie — ty tafla fotograficzna, odciskasz na sobie obraz nieznanej, poraz pierwszy widzianej kobiety, która może... Nie śmiałem jednak dokończyć tej przestrogi obudzonego rozumu, bo on całkiem płomienia nie ugasił. Najsilniej wydarte uczucia pozostawiają w pamięci korzenie, z których na nowo odrastają. Mimo więc wszelkich wyrzutów i uwag rozsądku, nietylko nie mogłem zadusić w sobie wspomnienia, ale nawet widziałem, że ono ciągle się odradza. Zacząłem unikać ludzi, towarzystw, miejsc publicznych. Upłynął rok, który mnie nieco uspokoił. Przechodząc raz pewnego przez Ogród Saski, spostrzegłem w równoległej alei owego mężczyznę z łoża, prowadzącego kobietę. Zapomniałem o wszystkich postanowieniach i zbliżyłem się spiesznie. Była to rzeczywiście — ona: błada, z widocznymi śladami choroby na zmęczonej twarzy, wśród której żarzyły się tylko spotęgowanym blaskiem piękne, głębokie oczy. Wesole i żywe dziewczę zmieniło się na poważną kobietę. Spojrzała na mnie tak obojętnie, jak na mijany słup przy drodze. Kto ona jest? Po raz pierwszy to pytanie i tylko to pytanie oładnęło wszystkimi moimi myślami. Gdyby wtedy znalazł się był człowiek zdolny mi na nie odpowiedzieć, byłby mnie może wyrwał z tego miłosnego kokonu, który na około siebie oprząłem i w którym powoli zasycham.

— Dlaczegoż nie wyszedłeś tej kobiety — przerwałem — nie starałeś się dowiedzieć o jej nazwisku, poznać?

Uśmiechnął się smutnie.

— W tem — rzekł — tkwi właśnie tajemnica mojej natury i mojej miłości. Zrobiłby to człowiek, słabiej odczuwający wrażenia i mniej rozmarzony. Zanim myśli moje nabrały energii do chodzenia po ziemi, już je wyobraźnia uniosła do nieba. Nie mając na razie żadnego objaśnienia, prócz kilku w lot schwytanych i dowolnie wytłómaczonych spostrzeżeń, pozostawiony sam na sam z zagadką, zacząłem ją rozwiązywać tak, jak mi serce doradzało. Rzuć w takie gorące serce obraz pięknej kobiety, a z pewnością narodzi się w niem anioł. A gdy on się narodzi, zamkniesz go i strzedz będziesz, ażeby mu rzeczywistość nie odłamała skrzydeł i nie poplamiała szat białych. Wszyscy ludzie są o tyle piękni, o ile mniej poznani. Huryski raj machometanowski dlatego tak urocze, że mają na ziemi twarz zasłoniętą. Natura dała nam wyobraźnię, ażebyśmy ozdabiali jej twory. Gdyby zwleczono całą tunikę z Fryny, gdyby na wskrósł prześwietlono jej ciało, zamiast uniewinnić z zachwyty, sędziowie potępiłiby ją z odrazy. Sparta nie znała idealnej miłości, bo jej dziewczyny z chłopcami gimnastykowały się nago na placach publicznych.

— Ależ mój Henryku — zawołałem — nie wymagając za wiele, mogłeś jednak przy poznaniu tej kobiety znaleźć w niej bardzo dużo.

— Albo nic — odparł gorączkowo. Kto mi za to poręczy? Ja ją w samotnych marzeniach moich wypieściłem, ona jest dla mnie wcieleniem wszystkich cnót i uroków, światłem mojego życia, a tymczasem może to tylko piękny zraz podany do spożycia bogatemu panu, może cudownie opierzona gęś, może naładowana namiętnościami maszynka, elektryzująca martwych rozpustników. Wierz mi, najrozumniejszym kochankiem był Don Kichot, który z prostej dziewczki wyidealizował sobie najwznioślejszą istotę i nie znalazł jej.

— Błąd twój i osnute na nim dziwactwa — wtrąciłem znowu — oparte są na przesadzie. Dlaczegoż ona ma być czemś najgorszym, a nie, przypuśćmy — dobrem? Weź prawdopodobieństwo przeciętne, ludzkie...

— I ono ma dość kółców — odparł wzgardliwie. Posłuchaj. Zdarzyło ci się zapewne spotkać kobietę, która cię oczarowała samym swoim widokiem. Patrzysz na nią, podzi-

wiesz, z jej oczu przegląda niewinność, na jej ustach drga uczucie, spodziewasz się w niej wszystkiego, co tylko marzenie twoje zapragnąć może. Czy nie lękasz się wtedy, ażeby z tych koralowych ust nie wybiegło niedorzeczne słowo? Gdy usłużny znajomy, spostrzegłszy twoje zajęcie, podejdzie i powie: podobała się panu młoda żona starego radcy, która tyle kosztuje swych wielbicieli, że na dzisiejszą jej toaletę aż trzech podobno się złożyło — czy wtedy nie doznasz przykrości? Czy nie zgrzytną ci w uszach słowa, gdy usłyszysz o innej: dobra dziewczyna, szkoda tylko, że ojciec ukradł majątek nieletnich? Słowem, jednąbyś kochał, gdyby jej przodek psów nie łapał, drugą — gdyby jej matka z oficerami nie uciekała za granicę, trzecią — gdyby nie należała do pewnego wyznania — a niema takiej, któraby, jeżeli nie w sobie, to około siebie, nie posiadała jakiejś skazy lub wreszcie jakiegoś ograniczenia dla twych uczuć. I ty chcesz, ażeby ja dziś dowiedział się kto ona? Kimkolwiek jest, nie jest w rzeczywistości moim ideałem. Nie szukając nigdy, spotykam ją od lat pięciu ciągle: widywałem ją w najrozmaitszych usposobieniach i sytuacjach, z których zawsze zdjąłem jakąś dla niej ozdobę, które jednak mogły również przekonywać, że ona jest niewinną, czułą, rozumną, zacną a nawet... polką. Kochać można tylko obrazy ludzi, ale nigdy ich wnętrzości, kochać można jedynie kobiety, wyrwane ze stosunków rzeczywistych, bez nazwiska, bez rodziców, bez religii, bez narodowości, bez wszystkiego, same, wyjęte z ram, od których na nie czasem cień pada. Rozumiesz teraz, dlaczego nie chcę nic o niej wiedzieć? Wyspowiadałem się zaś przed tobą dlatego, że przyjąłeś zaproszenie pułkownikowej, że ją u niej poznasz, że mógłbyś nieopatrznem słówkiem ukłuć ten wyduły miłością balon, który się zwie mojem sercem. Najśmieszniejsze dziwactwo jest dla kogoś równie potrzebnym organem życia, jak dla innego najpoważniejszy rozum. Gdybyś więc po tem wyznaniu chciał mnie kiedykolwiek w tem dziwactwie skaleczyć, zmieniłbym wagę szacunku, który mam dla ciebie, na wagę wzgardy.

To rzekłszy podał mi rękę i wyszedł.

Długo rozmyślałem nad tą tajemnicą i groźbą. Opamiętawszy się, mimowoli zawolałem:

— Pójdę do pułkownikowej i muszę się dowiedzieć, kto ona!

Mimo silnego postanowienia i zaostrzonej ciekawości, zawahałem się w ostatniej chwili: czy pójść i poznać tę, która prawdopodobnie była jej „piękną siostrzenicą”, czy też uniknąć pokuszenia. Odciągały mnie dwa bardzo ważne względy: z jednej strony obawiałem się, ażeby nieostrożnem słowem nie ugodzić później Bukowskiego i nie przeciąć mojego z nim stosunku, z drugiej — ażeby ona nie wydała mi się istotą niegodną jego uniesień. Jeżeli ją poznam, czy zdołam powstrzymać się od uchylenia rąbka zasłony, od rozjaśnienia jego wątpliń promieniem radosnej nowiny lub rozdarcia jego marzeń mieczem nielitościwej prawdy? Gdy rozum się waha, ciekawość podsuwa mu zawsze jakiś wybieg do obejścia skrupułów. I ja więc powoli wytłomaczyłem sobie, że obawy moje są płonne a nawet śmieszne: bo i jakąż miałem pewność, że to ona właśnie jest siostrzenicą pułkownikowej i że ją u niej spotkam? Uspokojony tem przekonaniem, ubrałem się spieszenie i wyszedłem.

Na wszelkie zabawy do Rubowiczowej towarzystwo zbierało się bardzo wcześnie. Spóźniających się gospodyni witała mniej lub więcej ostrym docinkiem. Była już godzina dziesiąta, gdy po długim namyśle przybyłem wreszcie na ulicę Królewską, gdzie Rubowiczowa zajmowała bardzo wytworne mieszkanie.

— Pan przyszedł świece gasić, bo my już po nabożeństwie — rzekła z właściwą sobie rubasnością, z której przebijają się jednak uprzejmość.

— Zdaje mi się, że dopiero kazanie, szanowna pani — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Należy się ono panu — ha?

— Naturalnie.

— Zają w occie — jaki kruchy! No, ja nie mszczę, ale proszę: albo od Rubowiczowej daleko uciekać, albo do jej domu zaglądać. Jeśli wam niewygodny moi mebli, albo nie po guście kuchnia, to możecie powiedzieć, ja zmienię.

Pułkownikowa, która dość czystą zwykle polszczyzną zaczynała rozmowę a dość kulawą kończyła, poczuwszy, że zaplątała się w „ukrainność”, uściśliła mnie tylko za rękę i odeszła.

Po mężu swoim zatrzymała w spadku dwie niechęci: do szlachty i do żydów. Oba te więc żywiły, przynajmniej imiennie, nie wchodziły w skład jej towarzystwa. Rzeczywiście jednak tu i owdzie wyskakiwały z twarzy znamiona typu semickiego lub przedzierały się przez demokratyczną maskę szlacheckie półsłówka. Nie mogło nawet być inaczej tam, gdzie towarzystwo stanowiło arystokrację duchową. Naród nasz, jako naród, zbyt niedawno żyje, ażeby mógł swe salony ozdabiać gwiazdami, które zaświeciły pod chłopską lub mieszczańską strzechą.

Zebranie tego dnia było niezwykle liczne. Śród obfitego grona strojnych, przeważnie mi nieznanach kobiet (bo przez dom pułkownikowej przepływała niemal co tydzień nowa fala ukraińskich, wołyńskich, podolskich i litewskich „rybek”), spostrzegłem znaczny zapas literatów, umiających korzystać ze „staropolskiej gościnności”, kilku młodych malarzów, widzących wszechświat w chudym koniu, dwu aktorów dopełniających tryumfami na estradzie niedobór w powodzeniach teatralnych, jednego muzyka, zaznajamiającego publiczność salonową z „urywkami” swej niedokończonej jeszcze, ale szerokiej kompozycji — a obok tego pośledniejszego, chociaż najkrzykliwszego gatunku kilkudziesięciu ludzi poważnych, wcale niegłośnych, lecz nie mniej stanowiących główny i stały rdzeń towarzystwa Rubowiczowej.

Witając najbliższych znajomych, przeleciałem zaciekawionym wzrokiem po twarzach kobiet, pewien, że zobaczę ją, królującą niepodzielnie, otoczoną tłumem wielbicieli. Nie dostrzegłem nigdzie. Nie wierzyłem własnym oczom — przepatrzyłem salon raz, drugi, trzeci, może dziesiąty — daremnie. Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie niesmaku, gniewu. Jakkolwiek w domu usunąłem skrupuły wyjścia przypuszczeniem, że jej tu nie spotkam, teraz nie tailem przed sobą, że przyszedłem tylko dla niej. Zawód spotęgował moją ciekawość, pod której wpływem zapomniałem o Henryku; zdawało mi się, że jej poszukuję dla siebie, dla zadowolenia pragnień własnego serca.

Zły, niezadowolony, usiadłem w kącie salonu, bez chęci przyjmowania udziału w żywo toczącej się rozmowie o jakimś olbrzymim zapisie dla chłopów. Nie zauważyłem nawet, że obok mnie znalazł się znajomy lekarz, daleki krewny Rubowiczowej, jeden z najprzyjemniejszych jej gości — p. Grzywacz.

— Chyba my musimy odmłodnieć — rzekł przyjacielsko — kiedy tacy jak pan się starzeją. Co to, chory pan jesteś?

Zagadnięty niespodzianie, osłoniłem się wymówką:

— Towarzystwo mi nieznane.

— Tem lepiej — zaśmiał się Grzywacz — większe zajęcie budzi. Masz pan dziś bardzo obfity wianuszek pięknych kobiet. Już to pułkownikowa umie wynajdywać róże. Co prawda, posiada ona tyle ładnych kuzynek, że mogłaby ich wdziękami natchnąć cały batalion poetów. Panny, wdowy, rozwódki, mężatki — co kto lubi. A już taka dobra rasa, że jedna w drugą jak łanie.

— Czy ich mężowie również jak — jelenie?

Lekarz, który lubił swobodne a nawet rubaszne żarty, zaśmiał się głośno.

— I to się zdarzało, ale pozrzucali rogi i uciekli. Trudno, mój kochany panie: kobiety są oszczędne — salon serca zostawiają mężom, a jeden lub dwa pokoiki odnajmują kochankom. Chociaż między kuzynkami pułkownikowej jest tu taka, która własnemu mężowi nie pozwoliła przestąpić nawet progu swego serca i trzyma je dotąd niezajętym.

— Cóż mąż?

— Spróbowałeś różnych kluczy i wytrychów, dał za wygranę i rozwiódł się.

— Która to, jeśli wolno spytać?

Grzywacz spojrzął po salonie i rzekł:

— Nie ma jej, musiała w tej chwili wyjść do drugiego pokoju; siedziała tam, pod lustrem. Rzadkie licho — i staremu nieraz w głowie zakręci. Piękna, że odzegnać się od niej nie można. Czyta ciągle, marzy, rwie się do rozmaitych przedsięwzięć, zakłada szkółki, leczy, rozrzuca pieniądze, wspiera biednych i próżniaków, wlatuje uniesiona jakąś myślą i znowu spada złamana zniechęceniem — a w tem wszystkim marnieje. Jest to cudowny, ale wędnący kwiat, nieszczęśliwszy od najszcześniejszej rzodkiewki, którą ten lub ów wyrwie i ze smakiem spożyje. Jest to jakaś błędna gwiazda, wytrącona z kolei.

Wymawiając te słowa, Grzywacz zwykle odwracający ludzi śmieszną stroną, przeszedł w ton poważny. Słuchałem go ciekawie, bo zdawało mi się, że mówi o niej. Odsunąłem jednak tę myśl, strzegąc się pomyłki.

— Teraz znowu ogarnęła ją chęć badania obyczajów zwierząt — mówił dalej. Nie jest to potrzeba wiedzy, ale przechodni smak, a raczej niesmak do ludzi. Zdawałoby się, że ta kobieta przepędza życie w miłostkach, a ona nikogo jeszcze prawdziwie nie kochała. Od czasu do czasu, jak gdyby na przekór logice, zajmuje się jakimś trutniem, walczy o niego, obsypuje go łaskami. Rzecz dziwna, im niższy gatunek ludzki, tem silniej ona się do niego przywiązuje. Warto ją poznać. No, ale nie będę pana dłużej zajmował bajaniem, bo panny spoglądają na mnie z wyrzutem. Do widzenia.

Przeszedłem się po salonie, do którego przytykał mniejszy, słabiej oświetlony, gdzie siedziało kilka osób, prowadzących z sobą cichą rozmowę. Zajrzawszy z poza uchylonej portyery — drgnąłem jak uderzony: na małej sofce, obok młodego mężczyzny, siedziała — ona. Jej głębokie, dziwnie przejmujące oczy spoczęły na mnie z taką mocą, że niemal uczułem ich dotknięcie. Nie wiedziałem, gdzie się podziać. Spostrzegłszy tuż przy drzwiach znajomego mi ojca pułkownikowej, który samotnie drzemał, usiadłem obok niego. Staruszek przywitał mnie życzliwie, i rad, że złapał kogoś do gawędki, zaczął po raz setny opowiadać dobroczynne skutki Marienbadu. Ja tymczasem łowiłem chciwie każde słowo, które z jej ust głośniejsze się odzywało.

— Może masz pan słusność — mówiła ona — że rozumem kobiety jest miłość. Ale nawet pod groźbą nierozumu kochać nie umiem ludzi. Pan to nazwiesz kalectwem, a ja doświadczeniem. Byłam już żoną. Człowiek jest zbliżona istotą bardzo szpetną, szpetniejszą niż zwierzę, bo ono nas pozorami nie ludzi i do marzeń nie pobudza.

— Pozostaje więc pani tylko — rzekł gorzko młody mężczyzna — przypatrywać się jedynie własnej piękności.

— Nie byłoby to tak niedorzecznem, jak pan przypuszczasz, gdyż tylko o sobie nie mam żadnych złudzeń, a więc nie doznaję żadnych rozczarowań.

— Szkoda, że z filozofii zrobiłaś pani tylko sztukę obrzydzenia sobie życia.

— I upiększania — dodała pospiesznie. Czy pan sądzisz, że odmówiwszy panu ręki, nie oddaję jej nikomu? Śni mi się codzień mój kochanek.

— Poślubij więc pani widmo.

— Jestem już dawno z niem zamężna.

Młody człowiek uklonił się, wstał i odszedł. Rozmowa ta wywarła na mnie głębokie wrażenie. Zdawało mi się, że słowa jej splatają się harmonijnie z marzeniami Henryka, że nie słysząc się wzajemnie, dwie te dziwnie pokrewne dusze tworzą miłosny duet. Czemu on szalony jej unika? Jak gdyby odgadując to pytanie, ona spojrzała na mnie smutnie i badawczo.

Nagle z salonu wpadła Rubowiczowa.

— Pan tu — zawołała — sądziłam, żeś pan uszedł. A! obiecałam panu...

Wzięła mnie za rękę i przedstawiając nieznajomej rzekła:

— Pan Okoński, złowiony uciekinier, moja kuzynka, pani...

Tu wymówiła nazwisko.

Nie chcąc waszej ciekawości zadowolnić zmyślonem imieniem, a jednocześnie chcąc uszanować tajemnicę mojego przyjaciela, nazwiska tego nie powtórzę.

W dwa dni potem przechodziłem ulicą Królewską. Przed mieszkaniem Rubowiczowej spotkałem Bukowskiego. Za ledwie przywitaliśmy się, tuż około nas stanął powóz, z którego wysiadła ona. Ukloniłem się jej — Bukowski zbladł i spojrzał na mnie niespokojny. Gdy weszła do bramy, nie mogąc powstrzymać gwałtownie cisnących się słów, zawołałem:

— Henryku, ona jest...

— Nie chcę! — krzyknął Bukowski.

Zamilkłem — on posepny odszedł.

Od tego dnia unika mnie starannie. Widuję go często zgnębionego. Zamiera powoli. Żał mi go serdecznie. Czemuż nie mogę mu powiedzieć chociaż tyle: legenda perska mówi, że Bóg rozkrał jabłka na dwie połowy i rozrzucił je po świecie; z połówek tych

wyrośli pary mężczyzn i kobiet, które do siebie ciągle dążą i wreszcie się łączą; otóż legenda ta, jak wszystkie inne, kłamie, bo zwykle się — nie łączą.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tragikomedia-prawdy/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. II], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0841-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).